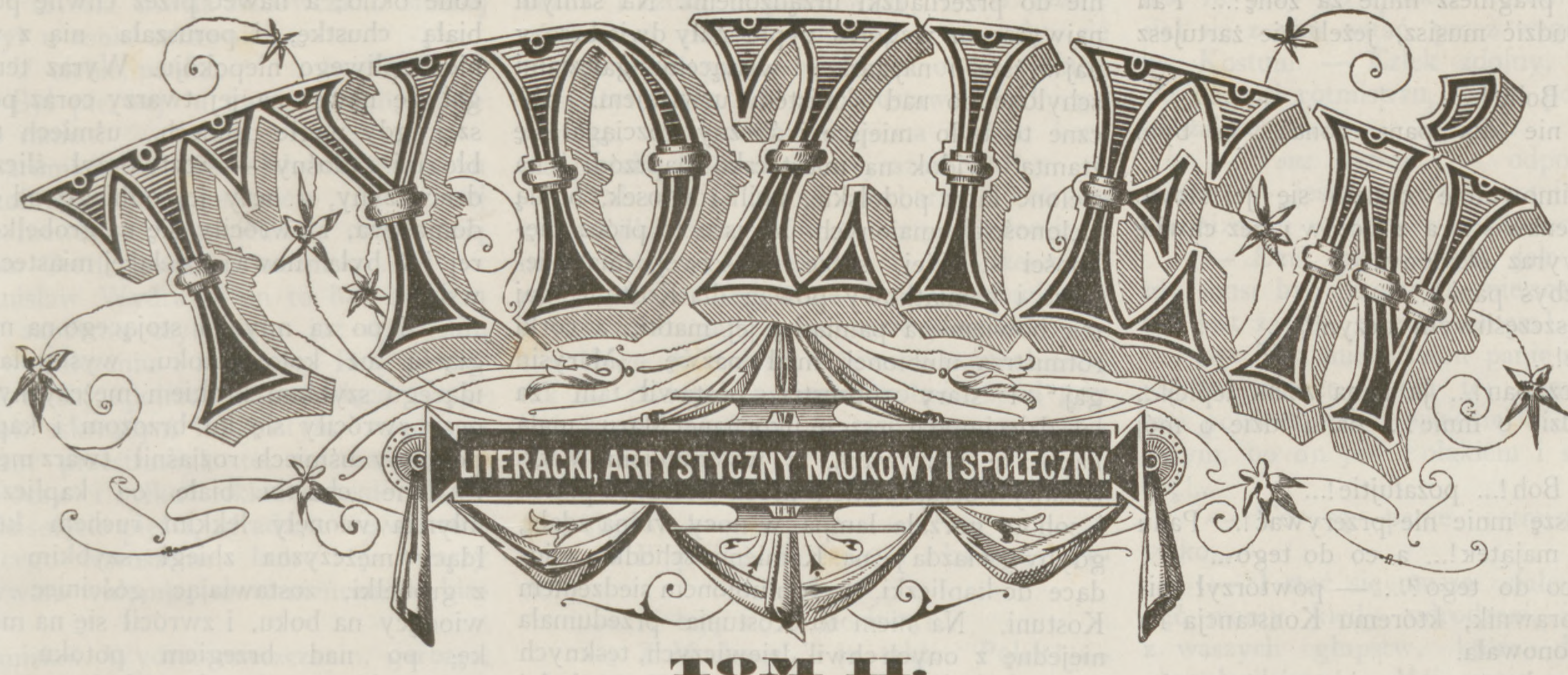
**Nr. 39.** Lwów, Niedziela dnia 26. Września 1875 r. **Rok II.**




**TOM II.**

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

## LUŹNE UWAGI.

XXXIX.

O ODCZYTACH POPULARNYCH.

Nadeszła jesień, z nią dłuższe wieczory, natura przestanie wkrótce bawić nas swoim widokiem, a że duch człowieka spoczywać nie lubi, więc chcąc nie chcąc będziemy go musieli karmić innemi wrażeniami, których już nie dostarczy żywa księga przyrody. Z jesienią nadchodzi czas umysłowej pracy i nauki.

Towarzystwo pedagogiczne, które od początku swego założenia składa bez przerwy dowody pożytecznej swojej działalności, urządzi zapewne i w tym roku, jak według zwyczaju, szereg odczytów popularnych dla kobiet. Ważność takich odczytów jest nadto bijącą w oczy, abyśmy ją na tem miejscu udowadniać potrzebowali. Ileż to mamy kobiet, które nie otrzymawszy za młodu starannego wykształcenia, pragną się czegoś nauczyć chociażby we wieku późniejszym; ileż takich, które zapomniały niemal wszystko, czego się za młodu nauczyły; a ile nareszcie tych, które przykute do obowiązków życia codziennego, nie mając czasu na śledzenie postępu nauk, radeby się z nim obznajomić w głównych przynajmniej zarysach. Odczyty dla nich są zatem niezbędne.

Inne atoli pytanie, czy sposób, w jaki dotąd odbywały się te odczyty, był prawdziwie korzystnym. Co do nas, ośmielilibyśmy się pod tym względem wynurzyć pewne powątpiewanie. Ilekroć Towarzystwo ogłosi szereg odczytów, zawsze dostrzegamy jeden i ten sam błąd, mianowicie, że prelegenci wybierają sobie sami tematy, a zatem mówią o czem chcą, a często nawet jak sami chcą. Wprawdzie główniejsze działy nauk są mniej więcej przez nich zastąpione, ale ponieważ w pojedynczych odczytach nie ma żadnego systemu, żadnej nici przewodniej, przeto i korzyść z nich płynąca nie może być taką, jakąby być powinna.

Jakiż bowiem cel mają takie odczyty? Oto chcemy rozjaśnić umysłowy widnokrąg osób słuchających. Jeźli tak jest, to w takim razie prelegent oddający się historji, lub literaturze, powinien przedmiot swój podzielić na kilka odczytów, z którychby każdy stanowił zamkniętą całość, a zostawał w bezpośrednim związku z następnym. W ten sposób odczyty historyczne z dwóch lub trzech lat razem złączone, mogłyby w głównych przynajmniej zarysach dawać obraz całej historji polskiej. To cośmy powiedzieli o historji, odnosi się do wszystkich innych gałęzi wiedzy. Podzielenie odczytów na trzyletni okres uważamy za konieczny, a jeżeli trudno o kilku prelegentów, którzyby się tak długiej pracy podjęli, to może tymczasem znajdzie się przynajmniej jeden, który zechce urządzić taki systematyczny szereg odczytów. W pierwszym zaraz roku przekona się Towarzystwo, że odczyty luźne nie wytrzymają współzawodnictwa z temi, które w system zostaną ujęte. Bez systemu nie widzimy prawdziwych korzyści dla żadnej pracy.

Za projektem naszym przemawia jeszcze jeden ważny argument. Oto nikt nie zaprzeczy, że byłoby rzeczą pożyteczną, gdyby wszystkie dobre odczyty mogły się pojawiać w małych broszurach. W takiej formie dostałyby się one na prowincję, gdzie cała warstwa średnia łaknie wiedzy popularnej. Teraźniejszych prelekcyj Towarzystwo wydawać nie może, gdyż zachodzi obawa, że właśnie z powodów, o których nadmieniliśmy powyżej, nie znalazłyby one odbiorców. Natomiast odczyty, będące niejako systematycznym i popularnym kursem nauk, łatwo znajdą nakładcę, a nawet, gdyby je Towarzystwo samo wydawać postanowiło, licznych odbiorców. Wtedy, jakkolwiek powoli, żadna bowiem większa praca nie da się przeprowadzić w jednym roku, światło będzie się rozlewało coraz szerszem strumieniem, bo korzystać zeń będą nawet ci, którzy bądź nie mieszkają we Lwowie, bądź na odczyty uczęszczać nie mogą, bądź nakoniec prędko zapominają usłyszaną prelekcję. Nie tylko kobiety ale i mężczyźni, tak we Lwowie jak na prowincji, odniosą z nich korzyść prawdziwą.

Oto uwagi, nad któremi Towarzystwo pedagogiczne zechce się może zastanowić.

---

## CHRZEST POLSKI.

**Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach,**

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

*(Ciąg dalszy).*

V.

Kostusia silniejsze uczuła drżenie, bo w tej chwili zaczęła wszystko rozumieć. I czuła, jak rumieniec ustępuje z twarzy, czuła jak zimno dreszczu i bladość przestrachu rozchodzą się jej po twarzy. Ale Kostusia miała serce dzielne, polskiej niewiasty miała serce. Pomału obróciła się do mówiącego, i jeszcze więcej pogardy błysnęło jej z oczów, gdy rzekła do sprawnika:

— Groźbą!... strachem!... chcesz pan zniewalać serca!... zdobywać miłość i żonę!... I to się panu nie uda!...

Mimo całej demoralizacji, jaką przesiąkła była urzędnicza dusza moskiewskiego czynownika, postawa i twarz Konstancji, mające coś w sobie wyższego, zrobiły na nim niemałe wrażenie. Mimowolnie mówił łagodniejszym głosem:

— Mnie was żal, panno Konstancjo!... To nie są próżne groźby i nie próżne strachy...

I jął opowiadać, że los rotmistrza ma w ręku swoim. Nie wdając się w bliższe szczegóły, to samo prawie jej powiedział, czem przed godziną chciał zniewolić starego rotmistrza. Konstancja z zimną na pozór twarzą słuchała, ale słuchając rozważała dobrze całe położenie swoje i dziadka, którego całą czułością kochała... Gdy już skończył, i tryumfującym spojrzał na nią wzrokiem, Konstancja nie zmieniwszy dumnej swej postawy, odpowiedziała mu głosem na pozór niezmienionym zupełnie, chociaż serce jej tłukło się o piersi konwulsyjnym a bolesnym ruchem:

— Panie sprawniku!... ja się panu dzi-

wię, że pan pragniesz mnie za żonę!... Pan sam siebie łudzić musisz, jeżeli nie żartujesz ze mnie...

— Jej Bohu!...

— Ja nie dla pana żona!... Ja bym pana!...

Tu mimowolnie cisnęło się jej słowo zawziętej nienawiści, a z oczów przez chwilę wystrzelił wyraz okropny!...

— Cóżbyś pani?...

— Nieszczęśliwym uczyniła...

— Ale!...

— Milcz pan!... Ja pana znam lepiej!... panu nie idzie o mnie!... panu idzie o mój majątek!...

— Jej Boh!... pożałujtie!...

— Proszę mnie nie przerywać!... Panu idzie o mój majątek!... a co do tego...

— A co do tego?... — powtórzył mimowolnie sprawnik, któremu Konstancja na prawdę imponowała.

— A co do tego... to jest rzecz targu!...

— Tar... gu!... — wybełkotał Paweł Onufryjewicz, który sam nie wiedział co ma powiedzieć...

— Zastanów się pan nad tem!... A teraz bądź pan zdrów!...

To rzekłszy skłoniła głowę prawdziwie monarszym ruchem. Paweł Onufryjewicz — jak się sam nieraz potem przyznawał, — tak był zbity z terminu, że prawie języka w gębie zapomniał. Mruknął coś tylko niezrozumiałego i wyszedł z pokoju... W sieniach przemknął się Piotr koło niego i słów kilka szepnął mu do ucha. Przed gankiem stała bryczka zaprzęgnięta; sprawnik skoczył do niej, i dopiero jadąc jął w duszy i półgłośno miotać przekleństwami i groźbami, wyjętemi z najbogatszego w tej mierze słownika moskiewskiego.

Konstancja po odejściu sprawnika stała przez chwilę na jednem miejscu, jakby do niego przykuta. Opuściły ją siły, i łzami zalały się oczy. Załamała ręce, bo jej żywo stanęło przed oczy całe okropne położenie. Chciała iść do dziadka, lecz nagle nowa jakaś myśl przemknęła jej przez głowę, oczy żywszym uderzyły blaskiem, wbiegła do sypialni, porwała kapelusz na głowę i wybiegła do ogrodu.

## VI.

Ogród w Zaskalu nie był wielki. Jak już wam pierwej opisałem, główną jego ozdobę stanowiła długa ulica z starych i rozłożystych lip, a tak obszerna, że za nieboszczyka Chcrążego, w czasie wielkich zjazdów, zastawiano tam stoły dla gości. Pod oknami starego dworu rozciągał się ogródek kwiatowy z kilku klombów i kwater złożony, pielęgnowany przez Kostunię, wielką kwiatów lubowniczkę, o której pan kamerjunkier Artur Szóstacki z salonową galanterją opowiadał, że wygląda jakby kwiatów bogini, Flora. Minąwszy ogródek kwiatowy i ulicę lipową, wchodziło się do sadu, który w lekkiej pochyłości zbiegał do małego wąwozu skalistego, z którego tryskało kilka źródeł strumykiem, bieżącym ku granicznemu potokowi. Po drugiej stronie wąwozu, mostkiem małym z ogrodem i sadem połączony, na wzgórzu był gaj brzozowy, jakby dalszy ciąg ogrodu, poprzerzynany ścieżkami, naumyślnie do przechadzki urządzonemi. Na samym najwyższym wzgórza cyplu stały dwie brzozy najwyższe i najstarsze, wiszącemi gałęziami schylone po nad skalistem urwiskiem. Śliczne to było miejsce i śliczny rozciągał się ztamtąd widok na miasteczko naprzód, i na zielone łany podolskie, i kilka wiosek, bujną zielonością umajonych. Miejsce to prócz piękności sielskiej, sobie właściwej, miało jeszcze i pamiątkowy powab dla Kostuni; gaj ten bowiem na pamiątkę jej matki, a córki rotmistrza ulubionej, miał nazwę „Marysin gaj“ i stary rotmistrz postawił tam za lat dziecinnych jeszcze ukochanej Marji małą kapliczkę murowaną, z wizerunkiem Matki Boskiej Poczajowskiej, przed którą co piątek i sobotę gorzała lampa, w nocy widna zdala, gdyby gwiazda jasna. Kamienne schodki, wiodące do kapliczki. były ulubionem siedzeniem Kostuni. Na niem to Kostunia przedumała niejednę z onych chwil dziewiczych, tęsknych i rozmarzonych, w tęczowe barwy młodej wyobraźni strojnych. Dzieje jej marzeń i myśli samotnych, rozsypane tam były po gałązkach i liściach brzóz płaczących, i nieraz zdawały się jej szemrać głosem i słowy znajomemi.

Tam przybiegła szybkim krokiem Kostusia po rozmowie ze sprawnikiem. Może chciała wymodlić swą trwogę, może przyszła szukać rady i pociechy u tej kraju i dworu polskiego Orędowniczki?...

Lecz nie!... Kostusia była szczerze nabożną; tym razem wszakże inna jakaś myśl, więcej ziemska, więcej samoistna promienieje w błyszczących oczach. Zadyszana szybkim biegiem, stanęła na najwyższym schodku, a oparłszy się o kratę, co zamykała kapliczkę, wzrok swój wytężyła naprzód, jakby czego śledziła lub oczekiwała.

Tuż naprzeciwko, jak wyżej mówiłem, rozciągały się porozrzucane miasteczkowe domostwa; niknące po większej części w wielkim wąwozie skalistym, sterczały najwidomiej samemi prawie dachami swemi. Z jednej tylko strony od Zaskala występowało wyraźniejszemi zarysami kilka dworków, niżej położonych. Były to same stare, dosyć obdarte, jak się to zwykle zdarza po miasteczkach naszych, i niekoniecznie schludne domki, odznaczone skalistemi podstawami, co im nadawało trochę starożytnej powierzchowności. Z pomiędzy tych dworków, ociemnionych czasem i zaniedbanych, po nad samym prawie potokiem wznosiło się nowsze domostwo, bielejące większym porządkiem i dbałością, pokryte dachem nowiuteńkim, jakby ozłoconym od promieni słonecznych. Domostwo to przydłuższe, sterczące kilku kominami, miało w swej powierzchowności coś fabrycznego, jednostajnego. Jedyne powabniejsze urozmaicenie stanowił jeden róg domostwa, najdalej wysunięty. murawą zieloną i kwiatami starannie utrzymywanemi otoczony. Ta cześć domu wyglądała tem przyjemniej i weselej, że kilka w niej okien wielkich i szerokich, przepełnionych mnóstwem kwiatów w doniczkach nadawało domowi podobieństwo oranżeryjne.

Owóż Kostusia stanąwszy przy kapliczce, zwróciła oczy swe ku temu domostwu, i z dziwnym uporem wpatrywała się w okwiecone okno; a nawet przez chwilę podrzuciła białą chustkę, i poruszała nią z wyrazem niecierpliwego niepokoju. Wyraz ten wzmagał się nawet na jej twarzy coraz posępniejszej, gdy nagle uśmiech... uśmiech tak jakiś błogi i radośny — roztworzył śliczne usta dziewczyny, a oczy jej odbiegły od długiego domostwa, i zwróciły się na grobelkę, o której już była mowa, dzielącej miasteczko ode wsi.

Z po za młynka stojącego na małem zagiąciu tuż koło łotoku, wystąpiła postać idącego szybkim krokiem mężczyzny. I jego oczy zwróciły się ku brzozom i kapliczce, i podobny uśmiech rozjaśnił twarz mężczyzny, i dwie chustki białe od kapliczki i od młynka wionęły lekkim ruchem ku sobie. Idący mężczyzna zbiegł szybkim krokiem z grobelki, zostawiając gościniec do wsi wiodący na boku, i zwrócił się na małą ścieżkę; po nad brzegiem potoku, strumyk z góry bieżący przeskoczył, i po sterczących na jednej urwiska ścianie skalistych płytach, jakby po szczeblach drabinki, piął się prosto do kapliczki, do brzóz płaczących i do stojącej między niemi dziewczyny.

Choć to może nie po raz pierwszy było, Kostusia wzdrygnęła się mimowolnie, wyraz przestrachu wybiegł na twarz i przycisnęła ręce do piersi, jakby chciała powstrzymać bijące ze wzruszenia serce. Ależ bo w rzeczy samej droga, którą idący wybrał, jakkolwiek była krótsza, nie była bez niebezpieczeństwa. Urwisko było strome, a kamyki nieregularnie wystające tak nie wielkie, że drapiący się bardzo łatwo za lada krokiem fałszywym mógł spaść z kilkosążniowej wysokości w głąb urwiska, sterczącemi kamieniami najeżonego. Kostusia wyciągnęła ruchem, od myśli pierwszym, rękę, którą wskakującemu na górę podała, jakby mu pomódz chciała. Było to przywitanie pełne wdzięku naturalnego; na twarzy dziewczyny rumieniec wzruszenia walczył z uśmiechem pewnego zadowolenia wewnętrznego. Odwaga mężczyzny ma zawsze dla kobiety powab niepospolity.

— Panie Stanisławie! — przemówiła Kostusia z wyrazem troskliwej wymówki — prosiłam pana tyle razy...

— Abym się nie spieszył do pani?...

— Ale nie z niebezpieczeństwem złamania karku...

— Idąc do dziadzia pani, który mnie powołał do siebie, ujrzałem panią...

— Czekającą na pana!.. — zaczęła z uśmiechem, lecz twarz jej przybrała nagle wyraz poważniejszy; — czekającą tym razem z niecierpliwością — dodała z pośpiechem.

Mówiąc to podała mu po raz drugi rękę, którą przybyły uścisnął z wyrazem uszanowania... Prócz tego wyrazu może i inny jeszcze wyraz zabłysnął w oczach przybyłego, lecz był to wyraz prawdziwie błyskawiczny, który ledwie zajaśniał już i znikł. Wystąpił natychmiast na twarzy jego wyraz niepokoju z jakim przemówił:

— Jest więc co nowego?...

— Panie Stanisławie!... — przemówiła Konstancja głosem niepewnym z początku; lecz wnet przemogła chwilowe wzruszenie, i twarz dziewczyny zajaśniała wyrazem energji, który tę piękną twarz dziewiczą dziwnie uszlachetnił.

— Przyszła chwila stanowcza!... słuchaj pan... był u mnie sprawnik!...

— U ciebie, pani?...

— Był pierwej u ojca: potem przyszedł do mnie...

I zarumieniona nie błahym wstydem słabej kobiety, ale oburzeniem prawdziwej polskiej niewiasty, opowiedziała całą swoją z Pawłem Onufryjewiczem rozmowę.

Stanisław Wydra — on to był bowiem jak się zapewne czytelnicy już domyślili, słuchał w milczeniu i z uwagą. Przy pierwszych słowach, spojrzał na mówiącą z wyrazem tak iskrzącym i ognistym, że się go może sam przestraszył; to też co prędzej spuścił oczy i tylko lekkie drżenie i kurczowe ściśnięcie pięści, zdradzało wewnętrzne słuchającego wzruszenie, które i na twarzy występywało widomie, to rumieńcem, to bladością.

Stanisław Wydra, mieszczanin, garbarz, jak się to już dowiedzieliśmy z rozmowy rotmistrza ze sprawnikiem, był młodym człowiekiem jeszcze, chociaż na twarzy bladej i chudej widać było ślady życia, pełnego ciężkich trudów i doświadczeń. Na tej twarzy był wyraz, właściwy ludziom, którym nie urodzenie, nie szczęście przypadkowe sprzyjało, ale którzy sami sobie winni posadę towarzyską, jaką zdobyli mnogiemi z losem zapasami. Twarze takie są odznaczone piętnem pracy podwójnej: pracy fizycznej i pracy umysłowej. Praca fizyczna zdziera z takich twarzy urok młodości i świeżości, pod naciskiem takiej pracy twarz nawet — możnaby powiedzieć brzydnieje. Ale za to pięknieje, czyli raczej szlachetnieje odbiciem tej wewnętrznej pracy umysłowej, która na swych ulubieńcach i ofiarach razem, piękność ciała zastępuje pięknością myśli.

Takim był Stanisław Wydra, prosty garbarz w małem miasteczku podolskiem. Dla obojętnych, co nie umieją wejrzeć przez skórę do głębi, Stanisław był brzydkim nawet; rysy jego twarzy o cerze żółtawej, ogorzałej, o kościach sterczących pod okiem, o policzkach zapadłych, takiemu salonowcowi bezgłowemu i bezsercowemu mogły się wydać pospolitemi — chłopskiemi nawet wedle kamerjunkra Artura Szóstackiego, który pełen wyobraźni o arystokratyczności krwi karmazynowej, mawiał zawsze:

— Chłop zawsze chłopem, choćbyś go umył, ufrakował, uperfumował, i doktorską nawet nań wsadził togę.

Ale kto sam posiadacz duszy, szukał duszy w drugich, musiał przyznać patrząc na Stanisława, że z tej twarzy o rysach wielkich, odznaczonych, z czoła wedle estetycznych formułek zanadto może rozszerzonego, z oczów głęboko osadzonych, ciemnych, wielkich i promienistych, bije myśl wyższa i uczucie szlachetne. Była to jedna z tych twarzy, które raz ujrzawszy, nie łatwo zapomnieć. Przykładała się do tego i ta jeszcze szczególność, która nieraz uderza w dzieciach ludu. Przy ciemnych oczach miał włosy jasne, nadzwyczaj bujne, i jeszcze jaśniejsze, ledwie nie dziecinnej białości wąsy, rozchodziły się dwoma gęstemi smugami nad ustami może za wielkiemi, ale bardzo kształtnie wykrojonemi. Obok energji oczów i czoła, te jasne wąsy, towarzyszone uśmiechem pełnym słodyczy, zdawały się znamionować serdeczną dobroć obok męzkiej, niespożytej siły. I cała postawa średniego wzrostu, ale żylasta, skupiona i silna, harmonjowała doskonale z wyrazem głowy.

Takim był młody garbarz, o którego życiu kilka tylko słów dodamy. Ojciec jego miał chatę w miasteczku i był szewcem, robiącym owe ogromne buty, jakiemi się u nas odznaczają nasze małe jarmarki miasteczkowe. Wesołego i żywego usposobienia, tak się podobał naszemu rotmistrzowi gdy był jeszcze młodym, że razu jednego przemówił do niego:

— Fedory... może pójdziesz ze mną; tam się biją!

— Biją się? — zapytał zdziwiony Fedory.

— A biją się z Moskwą!...

— Z Moskwą!... ja także Polak! — wyrzekł Fedory z wesołym uśmiechem — a więc pójdę, i będę bił także!...

Jak rzekł, tak zrobił; sporządził dla siebie na urząd parę ostatnich butów, i jak rzekł tak bił należycie wszystkich wrogów wielkiego Napoleona. Bo w głowie Fedorego Napoleon Polskę przedstawiał.

Nie mało nabrawszy guzów w wojaczce, którą raz jeszcze powtórzył w r. 1831 nagle zatęsknił za domem, i życiem domowem...

— Panie, ja się ożenię!...

— A to się żeń! — odrzekł rotmistrz — choć może już jesteś za stary do tego...

— Ale zato Handzia młoda!

Ożenił się, miał dzieci mnóstwo, ale te mu wszystkie pomarły, prócz Stanisława, którego rotmistrz trzymał do chrztu. A gdy umarł, stary rotmistrz pochował go i po śmierci matki, która starego męża niedługo przeżyła, zajął się Stasiem. Gdy był jeszcze dzieckiem, choć go ojciec chciał na szewca kierować, Staś nauczył się czytać u Kapucynów. Młodym będąc chłopcem mawiał zawsze:

— Będę rzemieślnikiem, ale i nauki nie porzucę.

To też staraniem rotmistrza przebył niższe szkoły w kraju, a że miał zdolności do nauk technicznych, wysłał go rotmistrz zagranicę.

Staś choć chłop miał hardą duszę, i z łaski rotmistrza co do pomocy pieniężnej, jak najmniej korzystał...

— Ja dziecię ludu!... z pracy powstałem, pracą sobie przyszłość zdobędę.

I dotrzymał słowa. Terminował, sługiwał, wędrował, aż wreszcie wrócił do kraju, i przyjąwszy pomoc od rotmistrza, otworzył garbarnię, urządzoną na sposób zagraniczny, choć zastosowaną do kraju, w której wielu ludzi biednych zatrudniał, i wielu biednym ludziom dawał utrzymanie. Garbarnia jego, w chwili kiedy się rozpoczęło nasze opowiadanie, miała już sławę ustaloną, i była w stosunkach z samą Warszawą. Stanisław był ulubieńcem rotmistrza, który go chętnie widywał u siebie, rozmawiał z nim z przyjemnością, i nieraz za przykład stawiał...

— Wszystko to prawda! — zauważał nieraz pan marszałek, który nie mógł się wstrzymać od arystokratycznego skrzywienia, ile razy go spotkał u rotmistrza i musiał się z nim witać, przez wzgląd na dziadka Kostuni. — Człek zdolny, pracowity... ale pozwól rotmistrzu, że ta poufałość jest ubliżającą *pour nous autres!*...

— *Vous autres!* — odpowiadał rotmistrz — jesteście najśmieszniejszym anachronizmem w dziejowym świecie...

— Dziś, jak wczoraj, jak i jutro, każdy musi być na swojem miejscu... Mieszczanin jest zawsze mieszczaninem!...

— Ten mieszczanin panie i dobrodzieju jest tak dobrze synem tej ziemi, obywatelem polskim, jak i asindziej!.... a nawet lepszym, bo on jest Polakiem i sercem i duszą!...

— To są panie rotmistrzu, słowa tylko...

— I stać się muszą ciałem, jeżeli stanąć mamy kiedy odrodzeni, i oczyszczeni z waszych głupstw, które dosyć drogo przypłaciliśmy!... Mój panie i dobrodzieju, nie na asindzieju i na jemu podobnych, ale na takich jak mój Staś przyszłość nasza spoczywa.

— Zobaczymy!... Zobaczymy!... — kończył urażony marszałek, i tem dumniej i pogardliwiej spoglądał na Stanisława, który — by prawdę wyznać — nic sobie z tego nie robił, i równą dumą odpłacał dumę marszałka i jego syna.

(C. d. n.)

---

# Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

*(Ciąg dalszy.)*

## IV.

### Pałace.

Ile ulic w stu miastach włoskich, przynajmniej tyle pałaców wspaniałych, a każdy pomieści króla z jego dworem. Oto masa kamieni, niezrozumiała dla francuskiego episjera, który chce, by pałac wyglądał strojno i zalotnie jak paryska kokota — ale ileż prawdziwego piękna w tej prostocie, szlachetności w tych linjach, powagi w tych murach poczernionych! Przed tobą staje żywo historja wieków, w których te gmachy powstały; historja pełna siły i pełna tyranji. Tylko tam gdzie samowola jednostek króluje, rodzi się budownictwo o wielkich konturach. Tak było w Indjach, w Egipcie, w Peru, Meksyku i Rzymie; tak było w Italji, w Niemczech i we Francji feudalnej. Traci na tem ludzkość, ale zyskuje sztuka.

Gdzie postacie Medyceuszów i Pazzich, Boromeuszów i Sforzów, Farnezjuszów i Strozzich, Piccolominich i Corsinich — i tylu, tylu innych, że aby ich nazwiska wymienić, potrzeba by na to kilka kart poświęcić! Gdzież ci ludzie, bez których nie ma historji włoskiej i włoskiej sztuki! Namiętni byli, dzicy prawie, łupili się i mordowali nawzajem, ale właśnie w tej walce bezustannej należy szukać źródła ich pomnikowego budownictwa. Każdy pragnął być pierwszym, każdy chciał sąsiada pokonać nie tylko mieczem, trucizną lub podstępem, lecz także wspaniałością swojej rezydencji. Za przykładem Signorów szli patrycjusze, za nimi bo-

*

gatsi mieszczanie, których znowu naśladowały rady gminne i korporacje. W ten sposób Włochy zostały zasiane pałacami.

Jak wielkie było współzawodnictwo na tem polu, niech na dowód posłuży następujące podanie: Założyciel pałacu *Strozzi* we Florencji, który żył i gmach ten budował u schyłku XV wieku, wezwał jednego z najcelniejszych artystów współczesnych, aby mu zrobił latarnie, które na rogach miały być umieszczone. Artysta wywiązał się świetnie ze swego zadania, bo zrobił tak piękne, że równych im nie było ani przedtem ani potem.

Pan uszczęśliwiony tym nabytkiem, poprosił artystę na drugie piętro, aby patrząc z wysokości na podwórze, osądził, ażali i tam nie dałyby się pomieścić takie same latarnie. Artysta usłuchał chętnie wezwania, ale w chwili, gdy pół ciałem przez okno się pochylił dla lepszego rozglądnięcia się po podwórzu, Signore pochwycił go zdradziecko za nogi i zrzucił na kamienie. Biedny artysta zginął! Nikt się o niego nie upomniał, bo i któż w owych czasach myślał o życiu jednego człowieka. I za cóż go zabił? Aby nikomu więcej takich latarni nie zrobił... Takie latarnie mógł mieć tylko pałac Strozzi, ale żaden inny.

Stańmy przed jednym.

Mury czarne, wysokie, u dołu czasem portyk wspaniały, u góry gzyms z całością harmonizujący, w pośrodku okna dziwnie pięknego rysunku. Żadnych przylepek, sztucznych ozdób, jaskrawych malowideł. Na rogach okazałe latarnie, których przez wieki żadna burza nie zerwała, a u dołu jeśli nie ma portyku, widać niekiedy w równych odstępach żelazne pierścienie, w które w dniach uroczystości familijne zatykano sztandary. Tylko stara szlachta miała ten przywilej. Rzeźbiona brama, olbrzymiemi nabita goździami, wiecznie zamknięta. Pierścieniem w pośrodku bramy uderz kilkakrotnie w goźdź żelazny, a za pomocą prostego mechanizmu, składającego się z drutu, lub sznura, który zasuwkę porusza, otworzą ci podwoje zabytku minionych czasów. Ledwieś wszedł, brama własnym ciężarem napowrót zapada. Otworzą ci drugą, znajdującą się w pośrodku sieni, a zrobioną z żelaznych prętów *a giorno*, i oto jesteś obok wschodów, na przeciw czworobocznego podwórza, dokoła którego biegnie portyk, wsparty na licznych kolumnach. Na podwórzu cysterna marmurowa, rzeźby i bluszcze w gęstych zwojach wspinają się na mury. W głębi ogród.

Minąwszy szerokie wschody marmurowe, które czasami, jak w pałacach Farnezjuszów, są tak pochyłe, że powozem można wjechać na górę, ujrzysz się w salach pana domu. A po drodze nad wschodami widziałeś liczne posągi i kolumny marmurowe; każde podwoje miały odrzwi z czarnego marmuru, nad któremi zamarłem obliczem witał cię biust kararyjski jednego z antenatów...

Sale przestronne, piętrowe. Pod stopami marmur w mozaikę układany, na ścianach malowidła pierwszych mistrzów, w rogach posągi, na powale freski ujęte w złote ramy wystające. Ale gdzie mieszkańcy? Ci nieliczni, których spotkasz błąkających się w ubiorach francuskich, ci synowie świata dzisiejszego i cywilizacji nowoczesnej, oni tak tu wyglądają, jak drobne owady w szkielecie przedpotopowego olbrzyma. Aby te sale odżyły, potrzeba tysiąca osób, pięknych dam, kawalerów w strojach średniowiecznych, poetów sławiących wielkie czyny i wdzięki kobiet, potrzeba dawnego życia. Dziś tu pusto i głucho jak pod piramidami w grobowcach Ramzesa.

Przebiegłszy sale główne, znajdziesz się w labiryncie wąskich korytarzy, czasem tak wąskich, że dwie osoby zaledwie mogą się minąć — wśród pokoików stosunkowo małych i niepokaźnych, w których przed wiekami służba mieszkała. W miejscu, gdziebyś się tego najmniej spodziewał, ujrzysz w ścianie drzwi maskowane, przez które dostaniesz się na wschody wąskie i kręte. One wiodą w nieznane miejsce, gdzieś na inną ulicę. Niegdyś te wschody znali ci tylko, którzy z panem w serdecznych zostawali stosunkach; niemi wchodzili do pałacu alchemiści, astrologowie, konspiratorowie i zbiry; niemi wreszcie uciekał pan sam w razie niebezpieczeństwa...

Po upadku feudalizmu, upadły majątki małych tyranów włoskich. Z biegiem czasu, w miarę jak na półwyspie tworzyły się coraz większe ciała państwowe, setki pałaców dawnych signorów przeszły na własność nowych rządów. Po zjednoczeniu całej Italji, najokazalsze te gmachy stały się własnością rządu Wiktora Emanuela. Ministerja, prefektury, kwestury, sądownictwo, zakłady publiczne, słowem wszystko mieści się teraz po najpiękniejszych pałacach.

Pałace prywatne, których nie stawiali mali tyrani, ale zamożni patrycjusze lub mieszczanie, są do dziś dnia w rękach dawnych rodzin, ale jak wielka zaszła w nich zmiana! Arystokracja włoska zubożała, z bogatej niegdyś zrobił się proletarjat arystokratyczny, i nikt nie pojmie, z czego ona żyje. To też wiele pałaców wynajęto dziś na kawiarnie, hotele, kasyna, a nawet... na domy uciechy. Widziałem pałace, które kosztowały krocie, a które można było kupić za 20.000 franków. I mimo tak niskiej ceny kupca znaleźć nie mogły, bo Włochy to kraj wcale nie bogaty. Za mojej tamże bytności, przemysł stał na bardzo niskiej stopie, handel po uregulowaniu stosunków politycznych zaledwie się podnosił, fabryk nie było prawie żadnych, główne linje kolejowe dopiero budowano, a przywóz zagranicznych towarów był każdego razu większy jak wywóz własnych wyrobów. Obce kapitały nie wpływały zatem — a bez marnego złota nie ma niestety rozwoju. Kraj żył głównie z cudzoziemców, których tysiące każdej zimy przyjeżdża, ale czy tysiące mogą wzbogacić dwadzieścia kilka miljonów?

Wróćmy do mieszkańców pałaców.

Nie wiele znalazłem takich rodzin, które dostatecznie zamożne, utrzymywały całe pałace dla siebie. Po największej części gnieździły się one w jednym jego zakątku, w najlepszym razie zajmowały pierwsze piętro, wynajmując dół i piętro górne. Kawałek ziemi, wystarczający zaledwie na najskromniejsze utrzymanie, albo renta w papierach przynosząca dwa tysiące franków rocznie, oto ich utrzymanie. A mimo to kobiety siedzą w domu z założonemi rękami, nic się nie ucząc i nic nie robiąc; mężczyźni zaś bez wykształcenia i towarzyskiej ogłady zbijają bruk lub całe noce przesiadują w kasynie. Dziś stosunki musiały zmienić się na lepsze, ale po zjednoczeniu Włoch były one takie a nie inne. Rodowa duma nie pozwalała pracować. Szczęśliwy jeszcze ten markiz lub contino, który miał kilka tysięcy rocznego dochodu. Wprawdzie codzień jadł *risotto* i *maccaroni col sugo*, ale za to ubierał służącego w liberję jak świat starą, i w powozie ciągnionym przez dwie nędzne szkapy wyjeżdżał wieczorem za miasto *per far figura*. To pragnienie okazywania się dostatnio, które nazywają *far figura*, jest prawdziwą chorobą na półwyspie. Od arystokracji przeszła ona do stanu średniego. *Far figura*, choćby kosztem sumienia, kosztem cnoty żony lub córki, oto cel marzeń najgorętszych.

Arystokraci nie mający wielkiego majątku, a liczne rodziny, tworzyli majoraty, a że do ziemi jest tam zawsze tytuł przywiązany, więc co dzień się zdarza, że spotkasz dwóch braci, z których starszy odziedziczywszy majorat ma majątek i tytuł, młodszy zaś jest biedakiem i żadnego nie ma tytułu. Córki wtrącano najczęściej do klasztoru. Mezaliansu nie wolno im było zrobić, a ciężarem dla najstarszego brata także być nie mogły. Większa połowa zakonnic w królestwie Neapolitańskiem należała do takich rodzin arystokratycznych.

Karol, z którym poznałem czytelnika w podróży przez Mont-Cenis, podczas swego pobytu we Włoszech, spisywał codziennie swój pamiętnik. Z niego wyjmuję teraz ustęp, tyczący się włoskiej arystokracji.

„Ci Włosi — pisał w styczniu r. 1865 — to nieodrodni potomkowie Rzymian. Jak tamci na forum, tak ci żyją na ulicy. Życia domowego brak tu wielki. Możesz znać Włocha dziesięć lat, widywać go codzień trzy razy w kawiarni, przechadzać się z nim całemi godzinami za miastem, możesz się nawet uważać za jego przyjaciela, a mimo to nie zaprosi cię nigdy do domu. Jak Turek haremu, tak on nie chce pokazać swoich kobiet. Między arystokracją życie większe. W karnawale każdy dom zamożniejszy daje wieczorki tańcujące; na wiosnę wszyscy wyjeżdżają na villeggiaturę, gdzie ich także możesz odwidzieć, jeżliś się im w zimie podobał. Lecz jak dostać się do tych kół szczelnie zamkniętych, jeżeli nie masz wielkiego tytułu, który słuch mile drażni, albo wielkiego majątku, przed którym wszystko czołem bije? Chyba przypadkiem. Od pięciu miesięcy mieszkam w pałacu książąt B. W mieście znam kilkaset osób, a mimo to nigdzie mnie nie zaproszono. To mnie zaczyna gniewać. Księżna B. jest staruszką sześćdziesięcioletnią. Majątek jej bardzo mały. Ma dwóch synów, z których jeden służy w ułanach, a drugi siedzi przy matce. Drągal ten wyrósł jak dąb w lesie, nie umiejąc nawet dobrze po włosku; ze wszystkimi rozmawia się w ludowem narzeczu, którego dotąd nie mogłem się nauczyć. Znajomość moja z księżną prawie żadna. Spotkawszy się na wschodach mówię *buon giorno* albo *buona sera*, i na tem koniec. Miesięczny czynsz odsyłam jej przez służącego.“

W czternaście dni pisał znowu Karol:

„Nadszedł wreszcie dzień długo oczekiwany; poznałem włoską arystokrację! Przed tygodniem księżna zachorowała. Dzień przedtem syn jej wyjechał do Turynu, aby za przykładem brata zaciągnąć się do armji. Dowiedziawszy się o słabości staruszki poszedłem zapytać służącego, czy się jej polepszyło. Wypadek chciał, że w tym samym czasie przyjechał tu z Warszawy dr. P. mój dobry znajomy. Ponieważ wiedziałem, że lekarze włoscy umieją tylko krew puszczać, chcąc tym radykalnym środkiem wszystkie leczyć choroby, postanowiłem w razie, gdyby księżnej się nie polepszyło, posłać jej naszego medyka. Naturalną tą grzecznością takem sobie ujął staruszkę, że mnie zaprosiła do siebie. Znacznie jej już

było lepiej; przyjęła mnie grzecznie siedząc w fotelu. Rozmowę zaczęła od stereotypowego:—*Come sta?*—Bojąc się, aby się na tem nie skończyło, rozwinąłem cały zasób mego krasomowstwa. Długo i szeroko opisywałem jej Niemcy, Francję i Anglję, a gdym zaczął mówić o Paryżu, księżna cmoknęła kilka razy ustami, na znak podziwienia, i naiwnie zapytała:

— Więc pan byłeś w Paryżu? A jakim to cudem mogłeś tyle świata zwidzieć będąc sam tak młodym?

— Dziś koleje ułatwiają podróżowanie. W kilku tygodniach można objechać całą Europę.

— A prawda, koleje! Moi synowie nie raz mi mówili, że koleją jeździ się bardzo prędko.

— Więc księżna sama nie podróżowałaś jeszcze koleją?

— Jam nigdy nie podróżowała. Od dziecka mieszkam w mojem mieście i tylko na lato wyjeżdżam na villeggiaturę o trzy mile. Na co mi tego!

O Polsce słuchała jak o wilku żelaznym. Ona nawet nie wiedziała, że taki naród istnieje. Lecz to mnie wcale nie dziwiło. Wszak niedawno poznałem profesora uniwersytetu, który aż do rozmowy ze mną najświęciej był przekonany, że w Polsce, w braku własnego języka, wszyscy mówią po łacinie. Bardzo by to było zabawne, gdyby nie było tak smutne...

Towarzystwo moje tak się księżnej podobało, że odtąd codzień do mnie przysyła z prośbą, bym ją odwidził.

Przedwczoraj zastałem u niej margrabinę Sca... kobietę czterdziestoletnią, która niegdyś musiała być bardzo piękną. Księżna przedstawiła mnie swojej przyjaciółce, mówiąc:

— *Signor Polacco, un gran signore!*

Że nie wymieniła mego nazwiska, wcalem się nie dziwił, bo dla Włocha nie łatwe ono do wygłoszenia; ale dla czego nazwała mnie wielkim panem? Chciałem zaprotestować, lecz księżna przerwała mi słowami:

— Od razu poznać, żeś pan *gran signor!*

Po całogodzinnej rozmowie, w której margrabina czynny brała udział, miała bowiem niejakie wykształcenie i przynajmniej Włochy widziała, księżna pożegnała mnie codziennem *bouna notte!* a jej przyjaciółka zwracając się do mnie, rzekła:

— Bardzo mi będzie miło, jeżeli nas pan odwidzisz. Przyjmuję każdego czwartku.

Nazajutrz był właśnie czwartek; nie miałem zatem nic lepszego do uczynienia, jak w południe posłać mój bilet do pałacu Sca... co równało się wizycie. W trzy godziny otrzymałem zaproszenie na wieczór.

W towarzystwie dwóch kolegów, którzy w tym domu bywali, udałem się wystrojony na ostatni guzik. W przedpokojach stali lokaje w czarnych strojach aksamitnych, ze złotemi sznurami na ramionach i piersiach. Wyglądali przepysznie. Zrzuciwszy paltoty weszliśmy do głównego salonu. Przywitawszy się z gospodynią domu, która mnie przedstawiła swoim córkom, wcale pięknym brunetkom (obie są jeszcze na wydaniu) rozglądnąłem się po salonach. Osób snuło się może dwieście; najwięcej mężczyzn. Jakież atoli było moje zdziwienie, gdym postrzegł, że wszyscy ci panowie byli w tużurkach kroju najrozmaitszego, a tylko ja jeden znalazłem się między nimi we fraku. Zakłopotanie moje nie trwało jednak długo, zwłaszcza że ten frak błogosławiony wywalczył mi od razu dominujące stanowisko. Panowie patrząc na mnie, z początku półgłosem szeptali: *Francese!* — a potem nie czekając, aż ja, jako obcy, pierwszy im się przedstawię, zaczęli cisnąć się do mnie i wymieniać swoje nazwiska. W pięciu minutach usłyszałem wszystkie i wszystkie zapomniałem. W pamięci utkwiły mi tylko tytuły. Każdy był *duca, marchese, conte,* a zaledwie jeden znalazł się między nimi *barone.* Było to jakieś stworzenie niskie, niepokaźne, którego rysy twarzy i włosy ryże zdradzały aż nadto jerozolimskie pochodzenie. Jak widać tego plemienia nigdzie nie brak. Dalipan nie pojmuję, zkąd się tu bierze tylu hrabiów, margrabiów i książąt! Prostego szlachcica nie znalazłbyś nawet ze świecą w ręku...

Poznawszy się z panami, rzuciłem się między damy. Tamto mój żywioł! z niemi znajomość nie trudna, zwłaszcza że nigdy nie pytam, czy która pieczętuje się mitrą, czy dziewięciopałeczkową koroną. Według mego przekonania, między osobami odmiennej płci nie ma różnic społecznych.

Łaskę pań zaskarbiłem sobie bez trudności. Byłem dla nich uprzedzająco grzecznym, i tem chwyciłem je od razu za serce, gdyż kobieta włoska, czy to z ludu, czy ze stanu średniego, czy z arystokracji nawet, jest zawsze narażona na gburowatość mężczyzny. Teraz naprzykład, hrabiowie i książęta, z rękoma w kieszeniach, i opierając się wygodnie plecami o stoły i kolumny, tak aby złote łańcuszki od zegarków wszystkich olśniewały i świadczyły o ich zamożności, popisywali się przed niemi takiemi dowcipami, jakich we Francji lub u nas nie użyłby nikt nawet wobec suberetki.

— Pani dziś blada — nadmienił *duca* F. zwracając się do pięknej, ośmnastoletniej panienki.

— Głowa mnie boli.

— To głupstwo! zapewne coś żołądkowego. Radziłbym zażyć oleju rycynowego. Ja sam wziąłem dziś *un purgante.*

Chociaż piszę dziennik dla siebie, nie mogę umieścić po polsku wyrażenia, którem książę zakończył swoją radę, tak ono mój smak obraża. Kobiety zaś włoskie są narażone na wyrażenia najwolniejsze, a chociaż ich słuch od dziecka z tem się oswoił, instynkt jednak mówi, że mogłoby być inaczej. To też z uwielbieniem są dla każdego, kto dla nich jest grzecznym.

Rozmawiając z niemi blisko godzinę, przekonałem się, że poziom ich wykształcenia jest bardzo niski. Pomijam, że na dwadzieścia zaledwie jedna jako tako mówi po francusku, a na trzydzieści zaledwie jedna gra na fortepjanie; gdyż powierzchowna ta ogłada, na którą gdzieindziej, np. u nas główną kładną wagę, żadną miarą nie może nazywać się wykształceniem; ale sięgając nieco głębiej, przekonałem się, że one nic nie umieją. Są to dzieci natury, które wzrosły bez pokarmu duchowego w czterech ścianach domu, i gdyby nie tytuł, nie ekwipaże, nie stroje i nie duma rodowa nakazująca patrzeć z góry na motłoch, niktby córki księcia nie odróżnił od córki pierwszego lepszego mieszczanina.

Zagrała muzyka, pary stanęły do lansiera, za którym przepada salonowa młodzież włoska — stanąłem i ja ze starszą panną domu. Dopiero teraz, czekając aż wszystkie pary zajmą swoje miejsca, miałem sposobność rozglądnąć się po sali. Marmurowa posadzka była cała zaścielona dywanem, który żelaznemi kółkami do murów przytwierdzony tańcom wcale nie przeszkadzał; pod ścianami stały meble grubo złocone i stoły pokryte marmurem *verde antico,* który dla swojej rzadkości jest dziś tak drogi, że jedna płyta kosztuje czasem kilkadziesiąt tysięcy; a u góry wisiały portrety kardynałów, biskupów i innych dostojników bądź świeckich bądź kościelnych. Dopiero teraz pojąłem, zkąd się wzięło tylu Włochów utytułowanych. Samowładnych panów było niegdyś na półwyspie bez liku, z których każdy tworzył sobie zwolenników, nadając poddanym herby i tytuły; papieżów było dzięki Bogu także nie mało, a każdy miał 72 kardynałów i kilkuset biskupów w samych Włoszech, których rodziny otrzymywały także herby i tytuły. Zagadka zatem rozwiązana. Niedawno dziwiłem się gdy mnie jeden ze znajomych zapewniał, że w jego mieście, liczącem niespełna 20.000 mieszkańców, jest 180 rodzin arystokratycznych; od dziś dziwić się temu nie będę...

Przetańczywszy lansiera i kilka tańców wirowych, mimowoli rzuciłem w koło wzrok badawczy, ażali nie dadzą czegokolwiek na podtrzymanie sił nadwątlonych. Nie długo czekałem. Pojawili się lokaje i na tacach wnieśli — *aqua fresca* (świeżą wodę). Świeża woda, to trochę za mało, ale ponieważ dopiero jednasta, więc kolacja będzie zapewne o północy... Zaczęły się tańce na nowo, północ minęła, i lokaje wnieśli znowu *aqua fresca,* ale tym razem z cukrem. Około czwartej nad ranem, gdy się już tańce skończyły, pojawiły się po raz trzeci butelki i szklanki, a w nich *aqua fresca.* Zły byłem jak nigdy, bo Polak gdy głodny to zły.... Wybierając się na wieczór proszony, umyślnie nic nie jadłem, aby być lżejszym i mieć myśli jaśniejsze — a teraz muszę wrócić z trzema szklankami zimnej wody w żołądku... Doprawdy lepsze nasze polskie zwyczaje.

Szczęście jednak, że jest rzecz, która mnie pociesza. Między paniami znalazła się jedna, która chętnie sama do mnie się przysiadywała, nawet do jednego kadryla sama mnie zaangażowała, i która nie dwuznacznie dała mi do zrozumienia, że lubi blondynów. A ładne stworzenie! Usta drobne, nosik zgrabny, figurka jak utoczona. Nie ma jak dwadzieścia lat. Nie wiem tylko czy panna, czy mężatka, tak pięknie wygląda... Kto wie czy się co nie zawiąże... Nie zaszkodziłoby to wśród monotonności mego życia. Zresztą radbym się przekonać jak Włoszki kochają...“

Mój Karol jest jednostronnym. Opisał nam tylko tę gałęź arystokracji włoskiej, którą ja nazwałbym średniowieczną, a która gnieździ się po takich miastach jak Padwa, Modena. Bolonja, Ferrara, Palarmo, Neapol i po miasteczkach prowincjonalnych. Czemu nie wspomniał o arystokracji mieszkającej w Turynie, Medjolanie i Florencji? Wszakże ta, ocierając się o dwór, ciało dyplomatyczne i bogatych cudzoziemców, ma nierównie więcej europejskiej ogłady, więcej wykształcenia, a na wieczorach urządza nawet bufety. Wprawdzie tę wypadałoby raczej nazwać kosmopolityczną, jak czysto włoską, ale poczucie prawdy nakazuje wyznać, że nie wszystka jest taką, jaką Karol poznał. Król Wiktor Emanuel, który na półwyspie jest przecież pierwszym arystokratą, zamieszkawszy w pałacu Pitti po przeniesieniu stolicy z Turynu do Florencji, dał natychmiast wielki bal, na który między innymi zaprosił wszystkich oficerów miejscowej gwardji narodowej. Bufet był tak obfity, że panowie gwardziści, należący do burżuazji, nie tylko do-

brze podjedli, lecz w dodatku każdy z nich, lubo bez upoważnienia, zabrał do domu to butelkę szampana, to spory kęs salami, to cukrów pełną kieszeń. Wprawdzie od tego czasu salony królewskie były zamknięte dla panów gwardzistów, jednakże winien temu nie król, ale marszałek jego dworu, markiz Brera.

Ej Karolu! Karolu! zaczynasz być pesymistą. Zobaczymy jak wyjdziesz ze swoją pięknością.... (C. d. n.)

# WYCIECZKI
## na współczesny Parnas francuski.

Przez

J. S. Chamca.

*(Ciąg dalszy.)*

I.

Aleksander Dumas.

Rok 1848 ujrzał narodziny aż siedmiu tomów: 1 *La dame aux camélias* (romans); 4 *Le roman d'une femme* i 1 *Césarine.*

*Le docteur Serrans* 2 tomy, *Antonine* 2 tomy, pojawiają się w r. 1849, a *Tristan le Roux* 3 tomy i *Trois hommes forts* 4 tomy w r. 1850.

Rok 1851 utworami *Diane de Lys* (romans) 3 tomy, i *Les revenants* 1 tom, zamyka pierwszą epokę tej pracy niezmordowanej. O wszystkiem, co w tym czasie ujrzało dzienne światło, jedno tylko powiedzieć można, mianowicie: że utwory czasami lepsze, czasami gorsze, nawet często wyraźne wykazując postępy, późniejszego rozwoju talentu autora wcale się jeszcze nie pozwalają domyślać.

Gdyby przypadek jaki przeciął był wówczas pasmo dni jego, Aleksander Dumas (syn), pomimo że w przeciągu lat dziesięciu wydał prawie trzydzieści tomów, zostałby był co najwięcej trzecio lub czwarto rzędnym pisarzem, i w chwili, gdy niniejsze o nim piszę słowa, przechowany chyba na półkach ludowych czytelni, w kole bardziej wykształconej publiczności najlżejszą nawet nie cieszyłby się renomą.

Lecz Bóg mu dłuższego użyczył żywota i.... w 1852 roku dla sceny przerobiony i w „Vaudeville" przedstawiony dawny romans jego *La dame aux camélias* pierwszorzędne dramatyczne objawił w nim zdolności.

To co w powieści, innym podległej warunkom, roztopione w powodzi próżnych słów i opisów, nikło niczyjej nie zwracając uwagi, to z leniwych oswobodzone kajdan, a błyszczącym podniesione djalogiem, nowem i żywem zajaśniało światłem. Temat od tego czasu bardzo tu oklepany, wówczas jeszcze odznaczający się smakiem oryginalności, temat rehabilitacji przez miłość upadłej w błoto bezwstydu kobiety, traktowany nieźle i z pewnem uczuciem, które później ostygło, silnie zajął publiczność i korzystne na niej wywarł wrażenie.

*La dame aux camélias* wytrzymawszy z rzędu przeszło sto przedstawień, odnawianą była odtąd przynajmniej kilka razy, i dotychczas bardzo jeszcze ładnem cieszy się powodzeniem. Pole tryumfów znanej artystki pani Doche w głównej roli „Marguerite Gauthier" służącej za probierczy kamień dla talentu wielu innych aktorek, bardzo ładne na jaw wydobyło zdolności, jak niedawno pani Pierson w teatrze „Gymnase."

W tymże samym roku 1852 zanotować trzeba wydanie dość błahej powieści dwutomowej: *Le regent Mustel.*

Lata 1853 i 1854 pomimo sześciu nowych tomów powieści: 2 *Sophie Printemps*, 1 *Contes et nouvelles* i 3 *La dame aux perles*, i pomimo przerobionego na dramat dawnego romansu *Diane de Lys* (powodzenie mierne na scenie) mało się przyczyniły do autorskiej sławy Dumas'a.

Rok dopiero 1855 stał się istotnym zenitem tej sławy.

W jesieni tego to roku, teatr „Gymnase" wchodząc w pierwsze z Dumasem stosunki, arcydziełem jego *Le demi monde* zimową rozpoczął kampanję. Komedja ta, tak ze względu na swą doniosłość, typowość, powodzenie, jak i ze względu na to, że świeżo przez „Teatr francuski" wznowiona, staje się dla Paryżan jak gdyby nowem zjawiskiem, zasługuje na szczegółową analizę. Rozbiór więc jej krytyczny odsyłając do końca artykułu, tu w ślady za niezasypiającym na laurach talentem Dumasa pospieszymy dalszym przeglądem.

I ile lat, tyle w nim prawie naznaczymy tryumfów.

Olbrzymiem *Demi Monde* zagłuszone powodzeniem, dwa tomiki powieści *La boîte d'argent* ogłoszone w r. 1855 i *La vie à vingt ans* w r. 1856, bez zbytniego przebrzmiewają echa. W r. 1857 teatr „Gymnase" nową jego komedję *La question d'argent* po stu przeszło nader zyskownych wieczorach znowu zapisał jako wielkie zwycięztwo w księdze dziejów teatralnych. *Le fils naturel* w r. 1858 i *Le père prodigue* w r. 1859 przedstawione na tej samej scenie, chociaż wyżej nie podniosły autorskiej reputacji Dumasa, zawsze jednak w ścisłej ją utrzymały równowadze, aż dopiero w r. 1861 *L'ami des femmes*, chwalebna wprawdzie, lecz już porażka, na lat kilka zniechęca go do sceny, tworząc zakończenie drugiej najpiękniejszej epoki jego działalności, choć może nie zupełnie odpowiednie początkowi.

Druga ta epoka bogata w plon jednego arcydzieła i czterech czy pięciu sztuk wcale pięknych, przedstawia nam Dumasa w pełnym rozwoju jego talentu, z sercem niewystygłem jeszcze, które w *La dame aux camélias,* jakem rzekł wyżej, ładną nieraz odzywa się nutą; z głową, której dymy pychy i wielkości nie miały czasu odurzyć, która zatem myśli jasno, zdrowo, i nie wdaje się jak potem w nadęte a zamglone proroctwa; z szacunkiem wreszcie dla sztuki, która mu się jeszcze wydaje czemś więcej niż zyskownem tylko rzemiosłem.

Gdyby jaki przypadek wytrącił mu był wtedy pióro z ręki, Dumas zostałby już pierwszorzędnym dramatycznym pisarzem, i sława jego, która nie wiele wyniosła z następnych produkcji, czystszą i sympatyczniejszą żyłaby w pamięci wnuków.

Lecz Bóg mu dłuższego przysporzył żywota.

Kilka początkowych lat trzeciej epoki od 1861 do 1867 roku, niczem się więcej nie odznaczyły, jak wspomnianą już polemiką z p. de Girardin z powodu przedstawionej komedji *Le supplice d'une femme* w Teatrze francuskim w r. 1865, i przytoczonem wyżej współpracownictwem z p. Durantin w *Héloïse Paranquet* w r. 1866.

Jak na jednej tak na drugiem nie wiele i literacka i towarzyska Dumas'a zyskała reputacja.

W roku 1867 obdarzył dłuższem milczeniem zaciekawioną publiczność czteroaktową komedją *Les idées de M. Aubray* i jednotomowym romansem *L'affaire Clémenceau.* Jak komedja, która chłodniej, a więc gorzej i z mniejszą wiarą tę samą co *La dame aux camélias* podniosła kwestję, tak i romans będący skandaliczną i brudną historją, wyciągniętą gdzieś z archiwów poprawczej policji, dużo jeszcze ładnych zawierają rzeczy, ale w sumie noszą już na sobie wyraźne ślady słabnącego talentu.

W r. 1868 zbiorowe wydanie w 4 tomach dramatycznych dzieł Dumas'a, z nowemi przedmowami poprzedzającemi prawie każdą sztukę, zatrzęsło całym światem czytającym.

Przedmowy te cyniczne, grubjańskie lub patetyczne na przemiany, a równocześnie z błyszczącym napisane talentem, były pierwszym objawem kierunku socjalistyczno-filozoficzno-proroczego w umyśle Dumasa.

Wściekłą jakąś zażarty nienawiścią na płeć niewieścią, którą niedawno w upadku rehabilitował; wszystkie błędy i klęski ludzkości jej zgubnemu przypisując wpływowi; jakieś nowe drakońskie przeciw niej proroczące ustawy, — Dumas w tych przedmowach takim różnobarwnym talentu, sprytu, szału i rozhukanej wyobraźni błysnął fajerwerkiem, iż trzeba było gromów ostatniej wojny z r. 1870—71, by osłabić i zatrzeć wrażenie wywarte przezeń na umyśle publiczności.

(C. d. n.)

# OSTATNI Z ROMANOWYCH.
## Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

*(Ciąg dalszy.)*

III.

Wielkie poważanie, jakie hetman umiał dla siebie pozyskać za panowania carowej Elżbiety, i nieustająca przyjaźń Piotra III nadawały mu nadzwyczajną siłę na dworze; z drugiej strony ogromne jego bogactwa skarbiły mu mnóstwo biednych oficerów i żołnierzy, których nieustannie wspierał ze swojej szkatuły; niektórzy przypuszczają nawet, że chociaż pobożna Elżbieta była żoną jego brata, Aleksego, mimo to Cyryli należał do jej serdecznych przyjaciół. Hetman nie miał szczególniejszego wyobrażenia o Katarzynie; nie uważał jej na osobę genjalną, a prócz tego znanem mu było jej wolne życie, tudzież niebezpieczeństwo grożące spiskującym nad wywróceniem tronu. Mimo to dawniejsze stosunki tak w nim utrzymywały ducha jego partji, że gdy ks. Daszkowa pojawiła się u niego, wtajemniczając go w zamiary spisku, to on, jakkolwiek nie chciał od razu przystać na wszystko, przyrzekł jednak swoją pomoc w razie potrzeby. To samo spotkało i Orłowa, który przyszedłszy na zwiady w kilka dni później, usłyszał znowu pochwałę dla spiskowców wraz z oświadczeniem, że nie powinno się dozwolić carowi, aby spełnił pogróżki względem żony. W końcu hetman przyrzekł pomoc tym wszystkim, którzy staną w obronie Katarzyny. Właściwych swoich zamiarów wprawdzie nie odkrył, lecz w głębi ducha bardzo był uszczęśliwiony, że mógł należeć do dwóch spisków; to też postanowił je wspierać, chociażby to miał życiem przypłacić. Nie czekając, zwołał swoich przyjaciół, i nie odkrywając im całej tajemnicy rzekł, że z pewnością wie o istnieniu w wojsku sprzysiężenia, dążącego do zdetronizowania cara, i jeżeli oni, jego przyjaciele, nie połączą się ze spiskowymi, pozostanie im do wy-

boru: albo stać się narzędziem prostych żołnierzy, lub paść ich ofiarą.

— Cóż mamy począć? — zapytali wszyscy.

— Macie mi wszyscy pomagać, gdy bunt wybuchnie! — odpowiedział hetman — a ja za to będę pamiętał o stopniach dla wszystkich, stosownie do urodzenia, majątku i zdolności każdego, słowem, jak na to który zasługuje. Ślepa odwaga kilku spiskowców zada pierwszy cios, my zaś powinniśmy wytężyć całą uwagę na ten fatalny moment, aby zapobiegliwością to wyzyskać, co drugim uda się osiągnąć. Czy pójdziecie w moje ślady?

Wszyscy poprzysięgli słuchać go, poczem zgromadzenie rozeszło się w oczekiwaniu strasznych wypadków, które miały nasycić ich zemstę i ambicję.

Zapewniwszy się co do Razumowskiego, ks. Daszkowa i Odart zajęli się pozyskaniem hr. Panina dla swego stonnictwa. Katarzyna pozwoliła im użyć do tego wszelkich środków, gdyż wiedziała, że jeśli obecność hetmana może być bardzo skuteczną w pierwszych chwilach buntu, natomiast tylko doświadczenie Panina może zapewnić powodzenie. On jeden był w stanie poskromić porywczą ambicję ks. Daszkowej, rozpalić nienawiść w Razumowskim, pokierować chciwym i z plebejuszowską ambicją Odartem, nakoniec usprawiedliwić cały spisek pozorem obrony młodego Pawła, swego wychowanka. W skutek tego ks. Daszkowa poleciła Odartowi, aby ofiarował Paninowi opiekę nad całem stronnictwem; lecz Panin z innych zupełnie pobudek, jak z prostej chęci usłużenia carowej i w. księciu, zgodził się na propozycje młodej księżnej.

Dla zapobiegliwej Daszkowej wszakże i to jeszcze nie wystarczało; postanowiła przeto udać się do jenerał-majora gwardji, ks. Wołkońskiego, tego samego, który kształcąc się w sztuce knowania spisków u wuja swego Bestużewa, po nim odziedziczył nienawiść do Piotra III. Wołkoński prócz tego pragnął zmiany w rządzie dla zaspokojenia ambitnych swoich widoków, zwłaszcza że mu pochlebiała nadzieja odegrania pierwszej roli w spisku; nie wahając się przeto, jak Razumowski i Panin, natychmiast przyjął wezwanie Daszkowej.

Arcybiskupa Nowogrodzkiego nie potrzeba było długo namawiać; naprzód wiedziano, że przystąpi do spisku. Chociaż car pozwolił mu wrócić z wygnania, gdzie się znajdował kilka miesięcy, Świątobliwość jednak będąc więcej rozsrożona gwałtownością Piotra III, aniżeli jego miłosierdziem, pałała żądzą zemsty, aby nasycić swój święty gniew. Zabobonność dostarczała mu po temu nie mało środków. Miał on w ręku fanatyzm ludu moskiewskiego, a tłumy mnichów znajdujących się pod jego władzą, nie przestawały rozsiewać pomiędzy ciemnemi masami nienawiści do cara, którego uważały za swego otwartego nieprzyjaciela.

Księżna pragnąc zabezpieczyć się ze strony wojskowych, a będąc przytem w przyjaznych stosunkach z wielu oficerami, podczas przejazdu koło koszar, sama do nich wstąpiła. Tutaj spotkał ją Orłow; porozumienie nie było trudnem i zgoda przyszła zaraz do skutku; księżna zaś, nie podejrzewając jego stosunków z Katarzyną, pochlebiała sobie, że to ona skłoniła Orłowa tak łatwo na swoją stronę i obu jego braci, wprawdzie nie tak przystojnych jak on, lecz niemniej odważnych, oraz słynnych z siły i okrucieństwa, których bali się nawet ich przyjaciele.

Za jednym zachodem udało się jej pozyskać dla swych zamiarów wielu innych oficerów, których już przedtem Orłow skłonił do buntu.

Odart uznał za stosowne uwiadomić Katarzynę o tych powodzeniach. Udając jakoby sama nic o tem nie wiedziała, carowa z wdzięcznością podziękowała swemu sekretarzowi za jego gorliwość, chociaż już przedtem była przez Orłowa doskonale o wszystkiem uwiadomioną; robiła to zaś dla tego, że nie chciała wyprowadzać z błędu sekretarza i obrażać próżności ks. Daszkowej.

Celem wszystkich spiskujących przeciwko Piotrowi III, ma się rozumieć, było zrzucenie go z tronu, lecz nie każdy był jednej myśli co do sposobu, jak miało być wykonane to przedsięwzięcie. Paninowi, Razumowskiemu i Orłowowi zdawało się rzeczą najwygodniejszą, porwać cara w Petersburgu, podczas uroczystości, która musiała koniecznie nastąpić na Piotra i Pawła. Panin wraz z kilku innymi spiskowcami podjął się wywiedzieć dokładnie o wewnętrznem urządzeniu cesarskiego apartamentu, by go tem łatwiej dostać w swoje ręce. Porucznik Passek, jeden z najdrapieżniejszych zawadjaków, podjął się zakłuć go na Dworcowym placu, i nie zważając na zakaz Panina, chodził dwa dni ze swoim przyjacielem Baskakowym, podpatrując cara w pobliżu małego domku drewnianego, gdzie mieszkał Piotr W. podczas założenia Petersburga, i dokąd bardzo często lubił chadzać Piotr III. Przypadek jednak zrządził, że car w przeciągu tych dwóch dni wcale się tam nie pokazał.

Lecz jeśli spiskowi nie zgadzali się co do sposobu, jak należało postąpić z osobą carską, za to jeszcze bardziej różnili się między sobą w zapatrywaniu na kwestję, kto ma zająć jego miejsce. Katarzyna zamyślała panować samowładnie, a Orłow i Daszkowa podtrzymywali te roszczenia. Panin natomiast odmiennego był zdania. Według niego carowa miała zostać tylko rejentką, a młody W. książę Paweł miał być carem ogłoszony; do tego zdania przychylał się także hetman Razumowski. (C. d. n.)

---

Sprostowanie. W zeszłym numerze „Ostatniego z Romanowych" zamiast Wilbna, czytaj Wilbua.

---

# Tajemnicza Wyspa

przez

**JULJUSZA VERNE**

przełożył z francuskiego J. Pł...

## Opuszczony.

*(Ciąg dalszy.)*

### Rozdział IV.

*(W drodze ku wybrzeżom. — Gromady małp. — Nowy potok. — Dlaczego nie znać na nim przypływu morza? — Leśne wybrzeża morskie. — Przylądek Jaszczura. — Gedeon Spilett budzi zazdrość w Harbercie. — Petardy bambusowe)*

Była godzina szósta z rana, gdy osadnicy nasi, zjadłszy pierwsze śniadanie, puścili się dalej w drogę, z postanowieniem dojścia jak najkrótszą drogą do zachodnich wybrzeży wyspy. Zachodziło pytanie: ile też czasu będą potrzebowali? Cyrus Smith twierdził że dwie godziny, zależało to jednak bezwątpienia od przeszkód jakieby im w drodze stawały. Ta część lasu Zachodniej Ręki zdawała się natłoczoną drzewami, jak gdyby olbrzymia gąszcz najróżnorodniejszej roślinności, Wynikała więc z tego prawdopodobnie konieczność torowania sobie drogi przebojem przez zarośla, krzaki, ljany, z siekierą w ręku — a przytem i ze strzelbą, zważywszy owe ryki zwierząt słyszane w nocy.

Położenie koczowiska, w którem spędzili tę noc, dało się oznaczyć dokładnie przez położenie góry Franklina, a ponieważ wulkan wznosił się na północy, w odległości najmniej trzech mil, wypadało więc tylko puścić się prosto w kierunku południowo-zachodnim, ażeby dotrzeć do zachodnich wybrzeży.

Przymocowawszy starannie łódź, ruszono w drogę. Pencroff z Nabem zabrali zapasy mogące wyżywić drużynę naszą co najmniej przez dwa dni. O polowaniu nie było już mowy, a inżynier zalecił nawet towarzyszom swoim zaniechać wszelkiego niepotrzebnego łoskotu, ażeby w okolicach wybrzeży nie zdradzić swej obecności.

Pierwsze uderzenia siekiery rozległy się między krzakami drzew mastykowych, nieco powyżej wodospadu, poczem Cyrus Smith z bussolą w dłoni wskazał dalszy kierunek drogi.

Bór składał się w tem miejscu po większej części z drzew widzianych już w pobliżu jeziora i Wielkiej Terasy. Były to deodary, duglasy, kazuarinasy, gumowce, eucalyptusy, smoczaki, hibiskusy, cedry i inne krzewy po większej części średnich rozmiarów, wielka ich gęstość bowiem tamowała ich rozwój. Osadnicy więc nasi bardzo zwolna tylko mogli postępować naprzód, przerąbując sobie drogę, która, według mniemania inżyniera, zaprowadzić ich musiała dalej do koryta Czerwonego Potoku.

Od pierwszego kroku począwszy, spuszczali się osadnicy nasi w dół po niskich stokach tworzących system orograficzny wyspy, po gruncie bardzo suchym, którego bujna roślinność jednak świadczyła bądź o podziemnej sieci wód, bądź o bliskości jakiegoś potoku. Mimo to Cyrus Smith nie przypominał sobie, ażeby podczas wycieczki swej do krateru dostrzegł był na wyspie inny jeszcze jaki potok, prócz Czerwonego Potoku i Dziękczynnej.

W pierwszych godzinach drogi spotykano gromady małp, kóre zdawały się okazywać najwyższe zdumienie patrząc na ludzi, których widok był dla nich zupełną nowością. Gedeon Spilett zapytał żartobliwie, czyli te zwinne i krzepkie czwororękie stworzenia nie uważały też przypadkiem jego i towarzyszy jego za swych odrodnych braci! I mówiąc prawdę, piechury nasi, dla których na każdym kroku krzaki, ljany i pnie tworzyły przeszkody i zapory, nie prezentowali się wcale świetnie przy tych zwinnych stworzeniach, skaczących wolno z gałęzi na gałęź, niewstrzymywanych żadną przeszkodą. Wielka była mnogość tych małp, na szczęście jednak nie objawiały żadnych nieprzyjacielskich zamiarów.

Spotkali także kilka dzików, kilka agutisów, kangurusów i innych gryzoniów, tudzież dwa lub trzy kulasy, którym Pencroff z wielką ochotą byłby dał zażyć kilka pigułek śrótu.

— Cóż, kiedy polowanie wzbronione! powtarzał. Skaczcie więc, przyjaciele moi, biegajcie i latajcie sobie w pokoju! Z powrotem pomówimy z sobą słóweczko!

O godzinie wpół do dziesiątej z rana wstrzymał ich nagle w drodze, którą postępowali prosto w kierunku południowo-zachodnim, nieznany jakiś potok, trzydzieści do czterdziestu stóp szeroki, który płynąc wartko spadzistem korytem i łamiąc się o niezliczone skały, z głośnym pędził

łoskotem. Potok ten był głęboki i przejrzysty, lecz do żeglugi zupełnie niesposobny.

— Jesteśmy więc odcięci! zawołał Nab.

— Bynajmniej! odparł Harbert, wszak to niewielki potoczek, potrafimy go wpław przebyć!

— Nie potrzeba, odrzekł Cyrus Smith. Potok ten płynie widocznie do morza. Idźmy więc tylko brzegiem jego, a dziwiłbym się bardzo, gdyby nas nie zawiódł bardzo sumiennie do wybrzeża. Dalej w drogę!

— Chwilkę jeszcze, ozwał się korespondent. A jak nazwiemy ten potok, przyjacielu? Nie pozostawiajmy w naszej jeografji żadnych luk.

— Słusznie! rzekł Pencroff.

— Nazwij ty go, moje dziecię, rzekł inżynier zwracając się do Harberta.

— Możeby lepiej było wstrzymać się dopóki go nie poznamy aż do samego ujścia? zauważył Harbert.

— Niech i tak będzie, odparł Cyrus Smith. Idźmy więc za nim bez przerwy.

— Jeszcze chwileczkę! ozwał się Pencroff.

— Cóż takiego? zapytał korespondent.

— Chociaż polowanie jest wzbronione, rybołówstwo, jak sądzę, jest dozwolone,—rzekł marynarz.

— Nie mamy czasu do stracenia, odparł inżynier.

—O! tylko pięć minut! rzekł Pencroff. Upraszam tylko o pięć minut zwłoki w interesie naszego śniadania.

Pencroff, położywszy się na brzegu, zanurzył ręce w bystry prąd wody i wyciągnął wkrótce kilka tuzinów pięknych raków, od których mrowiło się pomiędzy skałami.

— Oto mi rzecz! zawołał Nab, przychodząc w pomoc marynarzowi.

— Wszak mówię wam, że oprócz tytoniu jest wszystko na tej wyspie! mruknął Pencroff z westchnieniem.

Cały ten połów cudowny nie wymagał nawet pięciu minut czasu, gdyż raków było w potoku co niemiara. Napełniono worek temi skorupiakami kobaltowo błękitnego koloru, z pyszczkami opatrzonemi na przedzie małym ząbkiem, i ruszono dalej w drogę.

Puściwszy się brzegiem tego nowo odkrytego potoku, postępowali osadnicy nasi łatwiej i szybciej. Zresztą brzegi te nie zdradzały żadnego śladu ludzkiej stopy. Od czasu do czasu napotykali tylko tropy dużych zwierząt, które przychodziły do strumienia, by ugasić swe pragnienie, a zresztą nic więcej, i pewnie nie w tej stronie lasu Zachodniej ręki dostał ów pekaris ziarno śrótu, które Pencroffa kosztowało jeden ząb trzonowy.

Tymczasem widok tego wartkiego potoku pędzącego ku morzu przywiódł Cyrusa Smitha na myśl, że znajdowali się od wybrzeży zachodnich w większem oddaleniu, niżeli przypuszczali. I w samej rzeczy morze wzrastało o tej godzinie, i powinno było cofnąć wstecz bieg potoku, gdyby do ujścia jego nie było więcej jak kilka mil tylko. Owóż skutku takiego nie znać było, a potok płynął naturalnie spadkiem łożyska. Inżynier musiał być bardzo zdziwionym i spoglądał często na busolę, ażeby się upewnić, czyli przypadkiem jaka odnoga rzeki nie wiodła ich w głąb lasu Zachodniej Ręki.

Tymczasem potok rozszerzał się coraz bardziej a prąd jego stawał się mniej burzliwym. Zarówno po prawym jak po lewym jego brzegu ciągnął się las gęsty i niepodobna było sięgnąć dalej wzrokiem. Gęstwiny te jednak były widocznie puste, bo Top nie szczekał, a rozumne to zwierzę byłoby niezawodnie wytropiło każde żywe stworzenie w pobliżu potoku.

O godzinie wpół do jedenastej, ku wielkiemu zdumieniu Cyrusa Smitha, Harbert, który wyprzedził nieco resztę swych towarzyszy, zatrzymał się nagle i zawołał:

— Morze!

W kilka minut później osadnicy nasi przebywszy kraniec lasu, ujrzali rozpościerające się przed ich oczyma zachodnie wybrzeże wyspy.

Lecz jakaż różnica istniała między tem wybrzeżem a wybrzeżem wschodniem, na które wyrzucił ich pierwotnie los! Nigdzie ściany granitowej, żadnych raf na morzu, nigdzie nawet mielizny! Brzeg morza stanowił las, a drzewa rosnące z samego kraju uderzane przez fale morskie, zwisały nad wodą. Nie było to wybrzeże morskie, takie jakie zwykła tworzyć natura, bądź to rozpościerając dalekie piaszczyste płaszczyzny, bądź też gromadząc skały, lecz wspaniałe pasmo najpiękniejszych na świecie drzew. Brzegi były wyniosłe, tak że mogły górować ponad najwyższym poziomem morza, a przedewszystkiem ta bujna ziemia, spoczywająca na podstawach granitowych; — roślinność zdawała się równie trwale wkorzenioną, jak owe masy roślinne w głębi wyspy.

Osadnicy nasi znaleźli się wtedy przy małej zatoce, nie zdolnej pomieścić więcej jak dwie lub trzy łodzie rybackie, a tworzącej jakoby szyję nowo odkrytego potoku; lecz tu uderzyło ich dziwne zaiste zjawisko: wody potoku zamiast wpływać do morza przez łagodnie spadziste ujście, spadały z wysokości przeszło czterdziestostopowej; — to im wyjaśniło przyczynę, dlaczego przypływ morza nie oddziaływał zupełnie na bieg potoku. I w samej rzeczy, Ocean w czasie najwyższego przypływu nie był nigdy w stanie dosięgnąć powierzchni rzeki, której łożysko tworzyło rodzaj podniosłej szluzy, i miljony lat musiałyby zapewne upłynąć jeszcze, zanim by wody jego zdołały przegryźć te granitowe pokłady i wyżłobić wygodne ujście. Dlatego też nazwano jednomyślnie nowo odkryty potok „rzeką Wodospadową“ (*Falls-river*).

Ku północy leśny pas wybrzeża ciągnął się około dwie mile, dalej drzewa rzedniały coraz bardziej, a po za tem zarysowały się malownicze wzgórza, bieżące w prostej prawie linji na północ i na południe. Przeciwnie cała część wybrzeża pomiędzy rzeką Wodospadową a przylądkiem Jaszczurowym tworzyła jednę gąszcz złożoną z wspaniałych drzew, z których jedne strzelały prosto w niebo, inne pochylały się nad wodą, a bałwany morskie podmywały ich korzenie. Owóż w tej właśnie stronie tj. na całym półwyspie Gadzinowym wypadało przedsięwziąć dalsze poszukiwania, ta część bowiem wybrzeża mogła dostarczyć schronienia, podczas gdy część przeciwna, jałowa i dzika, nie mogła przyjąć gościnnie rozbitków, z jakichkolwiek pochodziliby stron.

Niebo było pogodne i jasne, a z wysokości urwiska, na którego szczycie Nab z Pencroffem zastawili śniadanie, mogło oko bujać swobodnie w dal. Widnokrąg był zupełnie czysty i nie widać było na morzu żadnego żagla. Na całem wybrzeżu, jak daleko wzrok sięgał, nie było ani okrętu żadnego, ani żadnych szczątków. Inżynier jednak dopóty nie miał w tym mierze żadnej pewności, dopóki by nie zbadał całego wybrzeża aż do ostatecznego krańca półwyspu Gadzinowego.

Śniadanie spożyto w prędkości i o godzinie wpół do dwunastej Cyrus Smith dał znak do drogi. Zamiast iść czy to grzbietem jakiego wzgórza, czy też piaszczystą płaszczyzną, osadnicy nasi postanowili zdążać wśród szpalerów drzew, wzdłuż brzegu morza.

Ujście rzeki Wodospadowej, oddziela od przylądku Jaszczurowego przestrzeń około dwunastomilowa. Po gładkiej drodze, nie spiesząc się bardzo, mogli osadnicy nasi przebyć tę przestrzeń w czterech godzinach; tak zaś potrzebowali na to dwa razy tyle czasu, drzewa bowiem, które trzeba było okrążać, krzaki które trzeba było wycinać, ljany przez które trzeba się było przedzierać, wstrzymywały ich co chwila, a te zbaczania nieustanne przydawały im znacznie drogi.

Zresztą nie było nic takiego, coby świadczyło o świeżem rozbiciu statku na tych wybrzeżach. Prawda, że jak to zauważył Gedeon Spilett, morze mogło wszystko unieść ze sobą, i że brak wszelkich śladów nie uprawniał jeszcze do wnioskowania, że w tej stronie wyspy Lincolna żaden statek nie został wyrzuconym na brzeg.

Rozumowanie korespondenta było słuszne, zresztą owo zdarzenie z ziarnkiem śrótu świadczyło niezbicie, że najwyżej trzy miesiące temu padł strzał na wyspie.

Była już godzina piąta, gdy koniec półwyspu Gadzinowego oddalony był jeszcze dwie mile od miejsca, w którem się znajdowali wówczas osadnicy nasi. Widocznem było, że dotarłszy do przylądka Jaszczurowego, Cyrus Smith z towarzyszami swoimi nie mieli już czasu wrócić przed zachodem słońca do koczowiska, rozbitego u źródeł Dziękczynnej. Wynikła ztąd konieczność przenocowania na samym przylądku. Żywności jednak nie brakowało wcale, i to na szczęście, gdyż na krawędzi lasu nie pokazywała się żadna zwierzyna czworonożna. Za to ptactwa było co niemiara, jako to: jakamary, kurukusy, tragopany, głuszce, gądziele, papugi, kakadu, bażanty, gołębie i tysiące innych. Nie było drzewa, na którem by nie było gniazda, nie było gniazda, z któregoby się nie rozlegało trzepotanie skrzydeł!

Około godziny siódmej z wieczora, osadnicy nasi, znużeni trudami drogi, przybyli do przylądku Jaszczurowego, który tworzył rodzaj woluty*) dziwacznie wykrojonej na morze. Tu kończył się nadbrzeżny bór półwyspu, a całe wybrzeże w stronie południowej przybrało zwykłą postać wybrzeża morskiego ze skałami, rafami i mieliznami. Łatwo zatem być mogło, że okręt jaki, miotany burzą, wylądował w tej stronie wyspy, lecz noc już zapadała i trzeba było odłożyć dalsze poszukiwania do dnia następnego.

Pencroff z Harbertem rozpoczęli bezzwłocznie szukać miejsca stosownego na nocleg. Na tej kończynie rosły ostatnie drzewa lasu Zachodniej Ręki, a pomiędzy niemi rozpoznał Harbert gęste grupy drzew bambusowych.

— Brawo! — zawołał — oto mi cenne odkrycie!

— Cenne, dla czego? — zapytał Pencroff.

— Bez wątpienia — odparł Harbert. — Nie wspomnę ci już o tem, Pencroffie, że kora bambusowa pokrajana w giętkie łaty służy do plecenia koszów i koszyków; że kora ta obrócona w miazgi i wymoczona służy do wyrobu papieru chińskiego; że z łodygi bambusowej, stosownie do jej grubości, robią się laski, cybuchy i rury

*) Ozdoba architektoniczna kapitelu w kształcie śruby. (Przyp. tłum.)

wodne; że duże bambusy dają wyborny materjał budulcowy, lekki i trwały, którego robak nigdy się nie chwyci. Nie będę także dodawał, że ściąwszy część łodygi między dwoma kolankami i używszy za dno część poprzecznej przegródki, tworzącą kolanko, można otrzymać trwałe i wygodne naczynia, bardzo używane w Chinach. Nie! to wszystko ciebie by nie zadowoliło. Ale....

— Ale?...

— Ale pouczę cię, jeśli o tem nie wiesz, że w Indjach jedzą bambusy zamiast szparagów.

— Trzydziestostopowe szparagi! — zawołał marynarz. — A czy dobre?

— Wyborne! — odparł Harbert. — Tylko że nie je się trzydziestostopowych łodyg, lecz tylko młodziutkie pręciki bambusowe.

— Wyśmienicie, mój chłopcze, wyśmienicie! — odparł Pencroff.

— Dodam jeszcze, że rdzeń z młodych łodyg, usmażony w occie, daje bardzo cenną przyprawę.

— Co raz lepiej, Harbercie.

— A w końcu, że te bambusy wydają między kolankami płyn cukrowy, z którego można przyrządzić bardzo przyjemny napitek.

— I na tem koniec? — zapytał marynarz.

— Koniec!

— A czy tego nie można przypadkiem palić?

— Nie, tego nie można palić, biedny mój ty Pencroffie!

Harbert z marynarzem nie potrzebowali szukać długo miejsca stosownego na nocleg. Skały nadbrzeżne — wielorako poszarpane, gdyż pod wpływem wichrów południowo-zachodnich musiały doznawać gwałtownego bicia fal morskich — posiadały wydrążenia zdolne ochronić ich w nocy od wszelkiej niepogody. W chwili jednak, gdy zamierzali wejść do jednej z tych jaskiń, wstrzymał ich nagle straszliwy ryk, wydobywający się z wnętrza.

— W tył zwrot! — zawołał Pencroff. — Mamy strzelby ponabijane tylko drobnym śrutem, a bestje, co tak pięknie ryczą, tyle by sobie z niego robiły, co z ziarnka soli!

I marynarz, chwyciwszy Harberta za ramię, pociągnął go ze sobą za skałę; — w tej samej chwili ukazał się przy wnijściu jaskini wspaniały zwierz.

Był to jaguar, wielkości co najmniej takiej, jak jego współplemiennicy w Azji, to znaczy, że od końca głowy do początku ogona mierzył przeszło pięć stóp. Płowa sierść jego centkowaną była regularnie kilkoma rzędami czarnych plam, i odbijała silnie od białej sierści na brzuchu. Harbert poznał w nim natychmiast okrutnego rywala tygrysa, o wiele niebezpieczniejszego od koguara, który jest tylko współzawodnikiem wilka.

Jaguar postąpił naprzód i spoglądał do koła, z najeżoną szerścią, z roziskrzonem okiem, jak gdyby nie po raz pierwszy dopiero przyszło mu spotkać się z człowiekiem.

W tej chwili korespondent pokazał się z za węgła wysokiej skały, a Harbert w mniemaniu, że nie postrzegł jaguara, chciał się rzucić ku niemu, lecz Gedeon Spilett dał mu znak ręką i szedł naprzód. Nie pierwszy to raz miał do czynienia z tygrysem; zbliżywszy się na dziesięć kroków do zwierza, stanął nieruchomy, z karabinem na ramieniu, i ani jeden muskuł nie drgnął w nim.

Jaguar, skuliwszy się we dwoje, rzucił się na myśliwca, lecz w samym skoku otrzymał kulę między oczy i padł martwy.

Harbert z Pencroffem poskoczyli ku jaguarowi. Nab z Cyrusem Smithem nadbiegli ze swej strony i kilka minut stali w podziwieniu przypatrując się rozciągniętemu na ziemi zwierzęciu, którego wspaniała skóra miała służyć za ozdobę wielkiej sali w Pałacu Granitowym.

— Ach! panie Spilett! jak ja pana podziwiam, jak ja panu zazdroszczę! — zawołał Harbert w przystępie bardzo naturalnego entuzjazmu.

— Ba! mój chłopcze — odparł korespondent — i tybyś tego samego dokazał?

— Ja! jabym się zdobył na tyle zimnej krwi?...

— Wystaw sobie, Harbercie, że jaguar jest zającem, a zastrzelisz go najspokojniej w świecie.

— Ba! Jednakowe mają obaj usposobienie! odparł Pencroff.

— A teraz — rzekł Gedeon Spilett — ponieważ jaguar opuścił swe mieszkanie, nie widzę powodu, przyjaciele moi, dlaczegobyśmy go nie mieli zająć na tę noc?

— Mogą przyjść inne jaguary! — rzekł Pencroff.

— Dość będzie jeśli rozpalimy ogień przy wnijściu jaskini — rzekł korespondent — a pewnie żaden z nich nie odważy się przestąpić progu.

— A zatem, do mieszkania jaguarów! — odparł marynarz, ciągnąc za sobą zwłoki zwierza.

Osadnicy nasi zwrócili się ku osamotnionej jaskini, i tam, podczas gdy Nab ściągał skórę z jaguara, reszta towarzyszy jego gromadziła na progu stosy suchego drzewa, którego las obficie dostarczał.

Lecz Cyrus Smith, postrzegłszy grupę drzew bambusowych, udał się w to miejsce i wyciąwszy pewną ilość tego drzewa dorzucił je do reszty paliwa.

Poczem rozgoszczono się w jaskini, która cała zasłaną była kośćmi; ponabijano broń na wypadek nagłej napaści; spożyto wieczerzę, a gdy przyszedł czas na spoczynek, podłożono ogień pod stos drzewa nagromadzony u wnijścia jaskini.

W tej samej chwili rozległ się w powietrzu trzask i łomot urywany. Były to bambusy, które zajęte płomieniem wydawały huk podobny do wypuszczanych rac. Już ten sam łomot był w stanie odstraszyć najzuchwalsze bestje!

Sposób ten sprawiania głośnego łoskotu nie był wcale wynalazkiem inżyniera, gdyż jak twierdzi Marko Polo, Tatarzy już przed wiekami używali go z powodzeniem dla odstraszania od swych koczowisk groźnych bestyj w puszczach środkowej Azji. (C. d. n.)

---

## ZWĄTPIENIE.

Wielkie w mem łonie zaległy ciemnie  
I cisze...  
Rajskie mi sfery nucą daremnie,  
Nie słyszę!...  
Żadne mnie cacko na świata targu  
Nie łudzi,  
Żadne uczucie duszy z letargu  
Nie budzi!  
A gdy na sercu położę rękę,  
Nie bije...  
Lecz czuję życia gorycz i mękę  
Więc żyję!  
Zapłakać trudno — zaśpiewać trudno —  
Ach! poco  
Nudzić wciąż ludzi tą piosnką nudną,  
Sierocą!  
Dla kogo promień miłości złoty  
Połyska,  
Nie pojmie łez tych, co żar tęsknoty  
Wyciska!  
Widząc szczęśliwych młodością, snami,  
Nadzieją,  
Duchy mych marzeń drżą gdzieś za mgłami,  
Bledniejа!  
Cicho szalone! Spłyńcie w mgły szare,  
Bez wieści...  
Rzućcie o głazy spełnioną czarę  
Boleści!  
I dalej, dalej! bez łzy, bez jęku,  
Do końca,  
W ciszy i mroku, bez pieśni dźwięku,  
Bez słońca!...

Maj 1875. *Marja B.*

---

## Karjatyda

z

TEODORA DE BANVILLE.

Pod ciężkim płyty granitowej łomem,  
Zgięta we dwoje Karjatydo biała,  
Gdzie tak spoglądasz okiem nieruchomem?  
W jaki głos tajny takeś się wsłuchała?  
Czy zeźćca tylko fantastyczne dłuto  
Dało twym licom ten wyraz cierpienia?  
Czyli też raczej duch jakiś pokutą  
W masce twej wieki znosi odrętwienia?  
Och! Jeśli gmach ten, jako innych dużo,  
Na krzywdzie ludu dźwignął się do góry;  
Jeśli łzy ludzkie za cement mu służą,  
Jeśli krew ludzka w jego wsiąkła mury;  
I jeśli cząstka fundatorów duszy,  
Zakuta w głazach zgonu tajemnicą,  
Sklepienia zamku, zanim czas je skruszy,  
Musi przeklętą podpierać prawicą!...  
To jak ciężkiemi, duchu potępiony,  
Muszą być tobie tych ścian wiotkie kłęby,  
Filigranowe gzemsów tych korony,  
Wieżyc iglice, narożników zęby!...  
I jak znikomość człowieczych próżności  
W wieczystej prawdy pojąwszy obszarach,  
Musisz złorzeczyć dawnej twej wielkości,  
Co taką klęską zwisła ci na barach!

* * *

Lub jeśli w tobie nie potępień mara,  
A święte zacnych bohaterów cienie,  
Jeśli w te mury ściąga cię nie kara,  
A miłość tylko, a tylko wspomnienie!  
To jakże boleć, chociaż innym bolem,  
Jak płakać musisz, choć innemi łzami,  
Po nad tym chwastem i nad tym kąkolem,  
Co gniazdo twoje zarasta i plami!  
Jak plemię wnuków, dziedziców zamczyska,  
Niegodnem siebie widząc, a spodlonem,  
W pięści nad głową, co głaz chłodny ściska,  
Pragniesz mieć siłę, aby być Samsonem!

* * *

Pod ciężkim płyty granitowej łomem,  
Zgięta we dwoje Karjatydo biała,  
Gdzie tak spoglądasz okiem nieruchomem?  
W jaki głos tajny takeś się wsłuchała?

Paryż d. 10 lipca 1875. Naśladował

*J. S. Chamiec.*

# IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

*(Ciąg dalszy.)*

— To rzecz szczególna, niepojęta dla mnie, mówił p. Alfred z gadatliwością człowieka, którego przestraszono, i który dla zjednania sobie groźnego przeciwnika, wchodzi natychmiast w myśl jego i stara się jak największą obfitością słów przekonać go o swojej uległości. — Mówiła mi Drozdowska, że Zamecki od czasu jak zabrał tę dziewczynę od... mamki w Gródeczku, i umieścił ją u Skryptowiczów, *sfiksował* co do niej. Ile razy jest w mieście, pierwszą jego rzeczą jest biedz do Skryptowiczów, wypytywać się o zdrowie, o powodzenie, o humor swojej pupilki, dogadzać wszystkim jej gustom i zachceniom, zajmować się najmniejszemi jej potrzebami, najdrobniejszemi szczegółami jej wychowania. Jest to albo fiksacja, albo złość...

— Złość, złość piekielna! Jest to spisek, uknuty, aby mię poniżyć, złamać! Domyślam się jego źródła. Karol i jego szanowna połowica... to straszydło na wróble, które zawsze cierpiało coś do mnie... wszak przypominasz sobie, że mimo bliskiego kuzynostwa z Karolem, widziałam jego żonę zaledwie dwa razy w życiu? Kobieta ta nienawidziła mię zawsze, domyślałam się tego, chociaż nie zwracałam na nią uwagi. I właśnie ten brak atencji z mojej strony musiał doprowadzić ją do wściekłości, a potem zazdrość, kobieca zazdrość! Zazdrościła mi mego urodzenia, majątku, pozycji, roli jaką grałam i gram w świecie, powierzchowności nakoniec i wychowania. Ha, więc to jej zemsta!

Nadmienić tu wypada, że pani Skryptowiczowa pochodziła z bardzo poważnej, zamożnej, i starodawnej rodziny szlacheckiej, że jak wiemy, zajmowała się tylko mężem i dziećmi, i że będąc starszą od pani Heleny a przy tem domatorką z natury, nie mogła zazdrościć kuzynce swojego męża tego wszystkiego, w czem ta czuła się wyższą od niej. Co więcej, czuła się tak szczęśliwą, że z nikim a nikim w świecie nie chciałaby była losu swego zamienić. Tem samem, nie mogła być zazdrosną, ani nienawidzić pani Zameckiej. Co się zaś tyczy zemsty, nie zdobyłaby się na nią była nawet w takim razie, gdyby jej pani Helena odebrała była, to co miała najdroższego w świecie. Ażeby się mścić, i to mścić się z wyrachowaniem, za pomocą długoletnich przygotowań, potrzeba było usposobienia, które nie było dane p. Skryptowiczowej. W tym więc wypadku mylnem było zastosowane przez panią Helenę kryminalistyczne prawidło francuskie: „*Cherchez la femme.*" Cokolwiek bądź, potrzeba jej było wytłumaczyć sobie pobudki postępowania pp. Karola i Tadeusza, i wytłumaczyła je sobie po swojemu.

— Jak oni ją znaleźli? — dodała po chwili.

— Drozdowska zaklina się na wszystko, że nikt nie wiedział o istnieniu tej dziewczyny, a przynajmniej nikt nie wiedział o tem, gdzie się podziała, oprócz niej i starej Antoniowej, która służyła u twojej matki... była nawet podobnoś twoją piastunką. Na nieszczęście, oddaliliście ją, a Skryptowiczowa, chociaż nie potrzebowała jej usług, wzięła ją do siebie.

— Ażeby przez nią dowiedzieć się, co się działo w naszym domu! To rzecz godna pani Skryptowiczowej.

— Skryptowiczowa w istocie dowiedziała się o wszystkiem od Antoniowej, i powiedziała mężowi. Skryptowicz napadł Drozdowską, przestraszył ją policją i sądami, i odebrał od niej dziewczynę wraz z urzędowem prawem opieki.

— Cóż, czy nie mówiłam ci, kto uknuł spisek? Czy Antoniowa żyje jeszcze?

— Żyje, ale nie ma jej u Skryptowiczów. Umieścili ją gdzieindziej, nim tę dziewczynę wzięli do domu — w jakiemś miasteczku na prowincji.

— I sprowadzą ją, gdy im będzie potrzebną, a Drozdowską także! Pani Karolowa, jak widzę, zgromadziła przeciw mnie cały „materjał dowodowy," jak najlepszy prokurator. Mówią, że podobieństwo rysów jest wielkie?

— Nadzwyczajne, — odparł p. Alfred, który zrozumiał, że zapytanie to odnosiło się nie do p. Karolowej. — Nietylko nadzwyczajne, ale często, łudzące. Tak łudzące, że gdybym miał o kilkanaście lat mniej,.. — dodał to z tak figlarnym uśmiechem, jak gdyby Berger nie był w posiadaniu żadnego kompromitującego autografu, i jak gdyby jedynemi dla niego wrażeniami chwili były złote promienie słońca, przeciskające się przez świeżą i gęstą zieloność drzew, na których świergotało ptactwo leśne o swobodzie i wesołości.

— O, nie taj się z twojemi myślami, wiem ja dobrze, że nie potrzebujesz mieć o kilkanaście lat mniej, i że jesteś zdolnym do wszystkiego... Mniejsza o to, na razie, wolno ci romansować z tą panienką, wolno ci nawet zawrócić jej głowę, tylko... rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem.

— Zamecki sprowadza ją tutaj, aby ją wyswatać za tego młodzieńca z plebanji. Warto im popsuć szyki, a może tem prędzej pozbędziemy się miłych gości. Młodzieńca ja biorę na siebie, a ty spróbuj szczęścia ze swojej strony, może ci się uda...

— No, zobaczymy, — rzekł p. Alfred poprawiając się w siodle.

— Ale to wszystko fraszki! — westchnęła p. Helena. — Zamecki wie o tem, co było przed laty; wiedział o tem, nim się ożenił ze mną. Gdybym się mogła pogodzić z myślą odegrania upokarzającej roli, którą mi przeznaczyli, cała ta sprawa byłaby mniej ważną. Kto wie, może się jeszcze uda odwrócić wszystko, odjąć im odwagę wystąpienia z tajemnicą, której doszli podstępnym sposobem. Mam czas pomyśleć o tem... mam kilka dni przed sobą, nim Zamecki powróci. Najnaglejszą jest rzeczą załatwić ten nieszczęsny interes pieniężny. Więc Berger ciągle grozi?

— Tak.

— Dałeś mu przecież tych dwa tysiące... znalazłeś je w książce?

— Znalazłem.

— I dałeś?

— To jest... tak, dałem.

Pani Helena zmierzyła swojego towarzysza wzrokiem podobnym do tego, przed którym ugiął się był przed chwilą, i rzekła rozkazującym głosem:

— Nie próbuj mię okłamać. Widzę ci z oczu, że nie dałeś mu ani grosza. Wiem w jakiem byłeś towarzystwie. Grałeś znowu, straciłeś wszystko?

— Tak.

— Człowiecze, zlituj się! Uważaj, że możesz mię zgubić, a przynajmniej uważaj, że gubisz sam siebie! Czy ty wiesz, że jakkolwiek Zamecki wcale nie jest skąpym, tak często w ostatnich czasach sięgałam do jego kasy, że tym razem zmuszoną byłam użyć podstępu, ażeby dostać od niego pieniądze potrzebne do uspokojenia tego lichwiarza, przynajmniej na czas jakiś?

— Wszystko to pochodzi z tąd, że sięgasz do kasy Zameckiego zawsze przez jego ręce. Spróbuj kiedy sięgnąć sama, a od razu pozbędziemy się kłopotu. Wszak ma około ćwierć miljona w swojej *werthajmówce*, a nam potrzeba właśnie tylko dziesiątej części tej sumy. Spodziewam się, że nie chowa kluczów przed tobą tak, byś ich znaleść nie mogła?

Nigdy piękniejsza twarz nie gnębiła nędznika wyrazem głębszej pogardy, jak w tej chwili twarz pani Heleny, jadącego obok niej p. Alfreda.

— Ukraść? — rzekła z naciskiem. — Czy ty mnie jeszcze nie znasz, czy nie oduczysz się nigdy sądzić drugich po sobie? Czy nie wiesz, że przywiedziona do ostateczności byłabym zdolną zabić, struć, zamordować kogo otwarcie lub podstępnie, sobie nakoniec samej odebrać życie, ale ukraść! Nie, to twoja specjalność, równie jak grać w maczka, fałszować weksle, albo nie stanąć w pojedynku. Ty mnie nie pojmujesz? Nie pojmujesz, że można być twoją przyjaciółką i kochać się w tobie, a pomimo to jeszcze pogardzać podłością?

Pan Alfred wiedział, że pani Helena lubiła od czasu do czasu pomiatać nim w ten sposób, roskoszować niejako w wyższości swojej, i dać mu w końcu na serjo uczuć swoją przewagę, wiedział, że każda taka scena kończyła się zawsze jej zwycięztwem, ale mimo to próbował czasem podnosić rodzaj buntu. Rzekł tedy obojętnie, i nie patrząc jej w oczy.

— Ukraść! Nikt nie mówił o kradzieży, bo przecież przyznasz, że czy się oszukuje męża w ten sposób, czy w inny...

— To fałsz! Ja nie oszukuję Zameckiego, ja prowadzę z nim wojnę, zaciętą, długą wojnę, w której moja dusza walczy z jego pewnością siebie, z jego urojoną wyższością! Jeżeli chciałeś zrobić mi zarzut z tego, że ci dostarczam pieniędzy do trwonienia, to powinieneś był pamiętać, że Zamecki nie żąda odemnie nigdy rachunku z pieniędzy, które mi daje. Kto wie, czy nie śmiałby się ze mnie, gdyby wiedział, jaki użytek robię z tych pieniędzy — bo przecież wiesz najlepiej, że jako męża, nie oszukałam go nigdy! Słuchaj mię, raz jeszcze. i to po raz ostatni przestrzegam cię, abyś nie próbował ściągać mię na twój poziom, bo wszystko będzie skończone między nami, a domyślasz się, kto na tem gorzej wyjdzie!

Tego rodzaju argumenta były dla p. Alfreda niezwalczonemi. Zamilkł i czekał, by burza przeminęła — a przeminąć musiała w krótce, bo zbliżały się właśnie fury włościańskie z drzewem, i pani Zamecka także uznała za stosowne przerwać rozmowę, a nawet uśmiechnąć się łagodnie w odpowiedzi na głębokie ukłony chłopków. Po chwili dopiero zapytała spokojnie:

— Więc ta skarga wekslowa wisi ciągle nademną, jak miecz Damoklesa? Cóż mówił Gomułowicz?

— Żądał, ażebyś podpisała konsens tabularny, a w takim razie dostarczy natychmiast pieniędzy. Mówił, że może się prenotować na twojej sumie bez wiedzy Zameckiego. Oto są papiery.

— Dasz mi je potem. Czas wracać do zamku. Gomułowiczowi powiedz, że stawiam warunek, by mi pieniądze wyliczył do ręki. Bądź u mamy i proś, ażeby mi napisała list, że jest chorą. Pojadę do miasta i sama wykupię weksel od Bergera, bo jak widzę, nawet w takiej ostateczności spuszczać się na ciebie nie można. Kiedy odjeżdżasz?

— Dziś w wieczór.

— Bądź-że na herbacie w Rymiszowie, ażebym ci wręczyła papiery. Nie zapomnij zajmować się Wandą i utwierdzić ją trochę w zaufaniu, które ma do ciebie. Jakoś w ostatnich czasach zaczęła domyślać się, że z niej żartujesz.

— *Mille tonnerres!* Zkąd jej się wzięło tyle sprytu?

— Powiedz raczej, zkąd jej się go bierze tak mało? Czy uwierzysz, że przysposobiła sobie aż cztery jasnozielone sukienki od czasu, gdy jej powiedziałeś, że jej dobrze w tym kolorze? Wygląda jak zielona gąsienica na listku kapusty.

— *C'est charmant!* I uczy się literatury klasycznej?

— Dniem i nocą. Umie już całą książkę Szujskiego na pamięć. Przywita cię cytatem z Sofoklesa, albo z jakiego indyjskiego poematu.

— Czarująca istota!

— Swoją drogą, źle się może stało, żeśmy nawiązali na nowo ten stosunek. Byłbyś mógł i bez tego bywać w Rymiszowie, a teraz, nie wiedzieć, co począć z tym fantem... Do wszystkich innych zawikłań, tego nam jeszcze było potrzeba! Przyjeżdżaj-że w wieczór, a teraz wracaj, bo wyjechaliśmy z lasu i ludzie z zamku będą się dziwili, zkąd się wziąłeś tutaj w mojem towarzystwie.

— Powie im się, że jeździłem do państwa Rozumowskich, i spotkałem cię przypadkiem. Weźże papiery. Do widzenia!

— Do widzenia!

Pożegnaniu temu nie towarzyszył żaden ukłon, ani giest jakikolwiek, i dlatego też, jak widzieliśmy, zastanowiło ono nieco Wacława, który je uważał z daleka. Byliśmy później świadkami rozmowy pani Heleny z Wacławem, i odprowadziliśmy ją aż do bramy zamkowej. Zaprosiła Wacława na herbatę, pożegnała go i rozmawiała jakiś czas z panną Wandą, którą uszczęśliwiła doniesieniem, że pan Alfred pojawi się na zamku za parę godzin. Następnie żaliła się na ból głowy, i zamknęła się w pokoju, który już znamy. Otworzyła kryjówkę sekretarzyka i wyjęła z niej swój dziennik. Wzrok jej padł na ostatnie słowa, które w nim napisała:

„Jeżeli ta dziewczyna jest“...

Zdanie to nie miało nigdy być skończonem, na papierze przynajmniej. Pani Helena położyła dziennik swój na sekretarzyku i oparta o niego, wpatrywała się jakby bez myśli w niewielką przestrzeń białego papieru, którą miała przed sobą.

Mój Boże — ktokolwiek kiedy pisywał coś nakształt zwierzeń się poufnych, ktokolwiek kładł na papier kawałek swojego sumienia, ten wie najlepiej, ile dobrych, a ile złych myśli brzęczy do koła w samotnym pokoju, gdy człowiek w pozornem otrętwieniu wpatrzy się w ten sposób w białą ćwiartkę papieru, taką równą, białą i gładką, a przecież tak podobną do znaku zapytania, ba, podobniejszą od krzywej figurki kaligraficznej, która znak ten przedstawia. Nieraz myśli brzęczą wesoło, i ktoby podpatrzył twarz zadumaną, spostrzegłby w niej uśmiech, może dobry, może złośliwy — ale każdy uśmiech jest chwilą szczęścia, albo nie jest uśmiechem. Nieraz znowu brzęczenie zmienia się w szum lekki, jak szmer strumyka, z młodych, błogich lat pamiętny; wśród szmeru tego miłe, ukochane może postacie wstają z zapomnienia, albo i z grobu... i nim się spostrzeżesz, kilka łez zwilżyło białą ćwiartkę i odpowiedziało na jej nieme pytanie...

Ale nieraz — wszak i straszni ludzie siadają z piórem wręku przed białym papierem, ludzie pod których dłonią kropla atramentu zmienia się w morze krwi i w bezdeń zniszczenia, a ludzie ci także muszą dumać chwilami! — nieraz więc, na takiem zadumanem czole ukazywać się musi nagle i widomie to piętno, którem gniew Boży naznaczył skroń Kaima. Błyskawicowym wężem odbija się ono od gładkiego, białego, pytającego źwierciadła, i daje mu odpowiedź, od której własne myśli uciekają przelęknione, aż coraz ciszej i straszniej robi się w samotnym pokoju.

Nie było uśmiechu w twarzy pani Heleny, łzy nie zwilżyły papieru, choć długo, długo wpatrywała się w niego, ze zmarszczoną brwią, nieruchoma. Nie wiem, ile czasu upłynęło, gdy wzięła nakoniec pióro do ręki i nakreśliła niem na próżnej ćwiartce jedno tylko słowo. Słowo to było w obcej mowie, zaledwie jeszcze znane w owych czasach. Pani Helena złożyła ćwiartkę, i schowała ją do kieszeni. Zamknęła sekretarzyk i wyszła do ogrodu. (C. d. n.)

---

# ISMAILIA

przez

**SAMUELA W. BAKER.**

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

*(Ciąg dalszy.)*

## IV.

### Przybycie do Fatiko.

Rasa mieszkająca w Schuli i Fatiko jest bardzo proporcjonalnie zbudowana. Mężczyzni są muskularni, a ich twarze wcale przystojne. Kobiety są silne i krępe. Oryginalny zwyczaj zauważyłem u wszystkich prawie plemion Afryki. Gdzie kobiety są przyzwoicie okryte, tam mężczyzni chodzą w naturalnym stroju, a gdzie kobiety są nagie, tam mężczyzni odziani. Tak samo dzieje się w okolicy Fatiko. Kobiety chodzą tu zupełnie in natura, a mężczyzni okrywają się skórą antylopy przewieszoną przez jedno ramię i spadającą po kolana.

Po skończonym tańcu, kilku mieszkańców przyszło mnie odwidzić; między nimi był mój dawny znajomy i przewodnik, który pierwszy zaprowadził mnie do okolicy Unyoro, i drugi jeszcze poczciwy człowiek nazwiskiem Schuli. Obaj ci krajowcy, dali mi szczegółowy opis położenia tych okolic, co było tylko powtórzeniem nadużyć i rabunków Abou Saooda. Za naszem ukazaniem się chciał on popchnąć mieszkańców do walki z nami, błędne wpajając w nich mniemanie o naszych nieprzyjaznych względem nich zamiarach.

Ztąd pochodziło to zbrojne wystąpienie, którem zauważył w dzień naszego przybycia, ale po wysłaniu dwóch ludzi dla bliższego rozpoznania nieprzyjaciela, krajowcy dowiedziawszy się, że jesteśmy ich dawni znajomi i przyjaciele, zaniechali dalszych kroków. Schuli i Gimoro wysłuchawszy w jakim celu przybyłem w te strony, zaręczali, że cała okolica dokoła chętnie przyłączy się do nowego rządu, pragnąc tylko sprawiedliwości i opieki przeciw nadużyciom handlarzy. Oznajmiłem im na to, że kontrakt firmy Agad & Co. z rządem zawarty po dwudziestu dniach upłynie, poczem Abou Saood zostanie wezwany, aby rozpuścił swoich ludzi i wydalił ich z okolicy, nad którą będzie się odtąd rozpościerała jedyna władza wicekróla. Gdy obaj odeszli, aby spiesznie ponieść rodakom te dobre wieści, stary mój sługa Mohamed, dalsze mi podał informacje o zachowywaniu się handlarzy. Był to jeden szereg podstępów, zbrodni i nadużyć wszelkiego rodzaju. W poszukiwaniach jednak za bydłem i niewolnikami, porobili niektóre ważne odkrycia w okolicach wcale jeszcze nieznanych. Wat-el-Mek, dowódzca jednej stacji, człowiek charakteru przedsiębiorczego, mimo różnych wad, które w oczach Europejskiej policji wydałyby się karygodnemi, był bardzo pożytecznym w Afryce, i zawsze życzyłem sobie widzieć go w składzie mojej ekspedycji. Tenże Wat-el-Mek, zapuszczając się z zamiłowania w nieznane strony, pierwszy odkrył okolice położone na południe od Gondokoro, otwierając z niemi komunikacje. Teraz dotarł do okolicy Lira, obfitującej w kość słoniową, a co jeszcze cenniejsze, w osły, całkiem nieznane na wybrzeżach Białego Nilu. Idąc dalej na czele swojej wyprawy, przeprawił się przez rzekę Sobat, dotarł do Lango, okolicy oddalonej na wschód od Fatiko o mil 130, która to część Afryki przedstawia wielki interes dla podróżników, ponieważ różni się całkiem od okolic Unyoro i Gondokoro. Mają to być wielkie przestrzenie płaszczyzny zasłanej obfitą i niską trawą, która stanowi bardzo cenne pastwiska, wychowujące liczne stada bydła, rasy odmiennej od tych, które żyją nad Nilem. Handlarze uprowadzili znaczne stado, lecz w krótkim czasie wszystko prawie wyginęło w skutek zmiany paszy. Za Lango jest część zwana Lobbohr, gdzie mają się znajdować wielbłądy i konie; jeżeli ta wieść jest prawdziwą, nie byłoby rzeczą zbyt trudną otworzyć komunikację z okolicami położonemi na wschód od Fatiko. W Lobbohr płynie rzeka Juba, i musi ona wpadać do Oceanu Indyjskiego, sądząc ze sprawozdania, które dalej mówi, że — „Arabowie przybywający do Lobbohr jeżdżą na wielbłądach, są uzbrojeni w pałasze i pistolety ale nie mają karabinów.“ — Kilku ludzi z kompanji Abou Saooda wybrali się byli także z wizytą do króla Mtese, wielkiego władzcy Uganda. Potężny ten król był w ciągłych stosunkach z kupcami Zanzibaru, wymieniając swoją kość na towary bawełniane, jedwabne, broń, amunicję i inne drobiazgi. Częste obcowanie z Arabami wpłynęło korzystnie na jego obyczaje, stał się mahometaninem i wybudował meczet. Nawet jego wezyrowie codzień zasyłali modły do Boga, jak prawowierni muzułmanie. Mtese nie zabijał więcej swoich żon a jeżeli kiedy zdarzyło mu się kazać uciąć głowę jakiemu człowiekowi lub bydlęciu, czynił to zawsze w imię Boga. Trzymał pisarzy, żeby korespondować w języku arabskim, i miał pułk z 1000 ludzi uzbrojony w karabiny, oprócz innych zastępów podlegających jego władzy.

Posłańcy Abou Saooda zostali źle przyjęci przez wielkiego Mtese; — utraktowani jak psy, oddalili się jak najspiesniej, szczęśliwi, że im dozwolono uciec z życiem. Nie była to okolica

odpowiednia dla ich rzemiosła. Potężna ludność była gotowa zgnieść ich swoją siłą, a przytem legalny handel ustalony na hańbę władzom Sudanu przez kupców Zanzibaru, zabierał wszystką kość słoniową, która z punktu zapatrywań geograficznych powinna należeć do Kairu.

Taki był stan rzeczy dokoła Fatiko w roku 1872. Nowe i ważne okolice zostały odkryte przez bandy rabusiów Abou Sooda, którzy za pierwszem zaraz ukazaniem się wprowadzili mord i rabunek; ale pocieszałem się jeszcze nadzieją, że przybycie nasze da początek wielkiej reformie i zaprowadzi porządek i zaufanie w całej okolicy. Chociaż Abou Saood przysiągł wierność, nie ufałem ani jego przyrzeczeniom, ani zaklęciom na oczy i usta Proroka, i nie chcąc zostawić mieszkańców, którzy nas tak przyjaźnie witali, bez opieki, postanowiłem założyć w Fatiko stację rządową. Ułożyłem się przeto z Abou Saoodem, że po wyjściu terminu kontraktu z rządem, dalszych zaniecha działań, i pozostanie tymczasowo w kraju, póki nie będzie mógł przetransportować reszty kości słoniowej do Gondokoro.

Zastrzegłem sobie także rozbrojenie natychmiastowe siedmdziesięciu Barysów, którzy służyli w jego kompanji, nie mogąc pozwolić, aby w rękach krajowców, nieprzyjaźnie dla rządu usposobionych, pozostawała broń palna. Przyobiecał on wprawdzie uczynić zadość moim rozkazom, lecz zaledwie wydaliłem się z Fatiko, broń została Barysom napowrót zwrócona.

Dziwnem może wydać się czytelnikowi, że odebrawszy od wicekróla najwyższą i bezgraniczną władzę, byłem tak pobłażliwy dla Abou Saooda, znając jego tajemne knowania. Ale bezgraniczna władza jest pięknie brzmiącem słowem, bo jej użycie staje się często bardzo trudnem.

Byłem obleczony nominalną władzą, której wykonanie potrzebowało nadzwyczajnej uwagi i zastanowienia. Postanowiwszy sobie dojść do zamierzonego celu, wiem że z Bożą pomocą kiedyś dojdę do niego, lecz każdy krok na tej drodze wymaga zimnej krwi i rozwagi. Gdybym był przeciw Abou Saodowi użył z samego początku ostatecznych środków, mógłbym jednym zamachem zniszczyć powodzenie ekspedycji. W całym składzie mojej siły wojskowej czułem powszechne przechylanie się na jego stronę. Człowiek ten posiadał także wysoką socjalną pozycję.

W Sudanie jako spólnik wielkiej firmy Agad et Comp. rozporządzał siłą 2500 zbrojnych ludzi, działając przez lat wiele za przyzwoleniem rządu i do tego za pośrednictwem swego przyjaciela, generalnego gubernatora Sudanu. Miałem go wprawdzie w moim ręku i w ostateczności mogłem znaleźć poparcie u władz Egiptu, ale ja wolałem przyprzeć go do muru, i w końcu odstawić gdzie należało. Wiedziałem także, że stacja Fatiko wraz z trzema innemi jest przepełniona niewolnikami, a mimo to nie chciałem wdawać się zaraz w tę sprawę, aby nie spowodować wielkiego zamięszania.

W Fatiko postanowiłem zostawić 100 ludzi, pod wodzą majora Abdullah, dla założenia stacji obok obozu Abou Saooda, a dwom krajowcom, Gimorowi i Schuli dałem zlecenie wystarania się o tragarzy, dla przeniesienia rzeczy do Unyoro. Z ludźmi, którzy z Loboré dostawili mi bagaże, miałem dość niemiłe zajście. Prawie zaraz po naszem przybyciu do Fatiko, syn szejka Abbio, usiłował wymknąć się ze swoimi ludźmi; ja zaś nie chciałem tak długo ich wypuścić, dopókibym wpierw nie ułożył się z mieszkańcami Fatiko co do dalszego transportu naszych rzeczy. Zabezpieczając się przeciw ogólnej dezercji, kazałem wszystkich rozbroić i rzemykami przeciągniętemi przez szyję powiązać po pięciu razem, stawiając przy każdej takiej grupie straż odpowiednią. Tymczasem Loborejczycy umówiwszy się, przegryźli rzemyki, i za danym sygnałem rzucili się na pilnujących żołnierzy, potem na wartę i przewróciwszy ją uciekli wprost przez skały w stronę Loboré. Idąc za impulsem powinności, straż dała ognia; w jednej chwili zbudzony ze snu alarmem zerwałem się, ale za późno. Było ciemno choć oko wykol, a gdy przynieśli latarnie, ujrzeliśmy trzy ciała zabitych. Z tem wszystkiem był to fatalny wypadek, i bardzo mnie zmartwił, obawiałem się bowiem, że kiedy było trzech zabitych, musiało być również kilku rannych i rzecz cała mogła w Loboré wywrzeć niekorzystne wrażenie.

Fatiko jest tylko jedną częścią rozległej okolicy Schuli, rządzonej przez szejka Rot Jarma, który w krótce po naszem przybyciu przysłał posła z zapytaniem, czy może mnie odwidzić. W kilka dni zaanonsował się dziką muzyką złożoną z rogów, za którą śpiewając pieśni, orszak jego postępował krokiem powolnego tańcu. Środkiem szedł sam szejk, świeżo wysmarowany czerwoną glinką i okryty skórą z pięknej antylopy. Zanim stanął przedemną przysłał z prośbą o kozę, która miała być zarznięta dla zniszczenia złego uroku w strumieniu, przez który miał przechodzić. Przychyliłem się do tego żądania i koza ofiarna została spożytą przez jego ludzi. Dowiedziałem się później, że przed odwidzinami, szejk Rot Jarma przysłał mi był dużą ilość mąki i ptactwa, ale to zostało zatrzymane i skradzione przez naczelnika stacji handlarskiej, Ali Hussejna, jednego z najgorszych ludzi. Intrygancki umysł tego człowieka silił się nad wynalezieniem powodu niezgody lub nieufności między mną a szejkiem, a że zwyczajem u handlarzy było nieprzyjmować żadnego krajowego dygnitarza z próżnemi rękoma, zdawało mu się więc, że przez zatrzymanie podarunków poróżni mnie z Rot Jarmą, który dotąd nie dał się nakłonić do odwidzenia Abou Saooda.

Tymczasem Schuli i Gimoro znaleźli 200 ludzi, a chociaż nie spodziewałem się w przyszłości żadnych zatargów z krajowcami, amunicja stanowiła jednak większą część moich towarów. Major Abdullah odebrawszy instrukcje co do budowy stacji został ze swoim oddziałem, a ja zresztą gotowałem się do drogi w okolicę Unyoro, wiodącą przez przestrzeń niezamieszkałą a 78 mil długą. Schuli poczciwy i wierny nasz przyjaciel był naszym przewodnikiem.

(C. d. n.)

---

# POGADANKI.

## XXXIX.

Pewna część narodu galicyjskiego natrafiła na sęk tak twardy, że niepodobna rozrąbać go najtęższą dyplomatyczną siekierą. Rzecz przedstawia się tak: Między strażami ogniowemi ochotniczemi w naszym kraju, a takąż strażą czerniowiecką wyrobił się pewien przyjemny *modus vivendi*, i trwa juz dość długo ku zadowoleniu obopólnemu. Tymczasem zdarzyło się, iż straż czerniowiecka urządza festyn w dniu 3. października, a więc w wilję tego dnia, w którym ma być inaugurowanem panowanie kultury niemieckiej nad brzegami Prutu. Zaproszono oczywiście wszyskie straże ochotnicze galicyjskie. Sęk przybiera tedy hamletowską formę w pytaniu:

„Jechać, czy nie jechać?“

Jechać, nie byłoby to jeszcze brać udział w uroczystościach dnia następnego, zważywszy, iż na kolei lwowsko-czerniowieckiej kursują na dobę trzy pociągi osobowe i jednym z nich można opuścić Czerniowce po festynie strażackim — w najgorszym zaś razie, tj. gdyby pociąg wjechał do Prutu itp. można zresztą i pieszo cofnąć się do niedalekiej Sadagóry. Ponieważ atoli pisma niemieckie gotowe pomimo wszystkiego przedstawić rzecz w innem świetle, ponieważ poeci tego narodu gotowi opiewać kiedyś w górnolotnych jambach fakt, jakoby *die wilden Polacken und Russniacken* dali olśnić się blaskiem *der Frau Muse* niemieckiej, i przybiegli złożyć jej hołd, niosąc w dani złoto, kadzidło i myrrę, więc odzywają się słuszne skrupuły przeciw jechaniu. Ależ nie jechać, to znaczy zerwać ów przyjacielski *modus vivendi*, z którego obydwie strony zdają się być zadowolonemi, i który w ogóle jest pożądanym. A więc: jechać, czy nie jechać?

Kwestja jest dotychczas „otwartą,“ i wolno każd. mu dać swoje wotum. Przypadek chce, iż obdarzony jestem prawem głosowania w tym wypadku, zważywszy, iż straż ochotnicza stanisławowska mianowała mię honorowym swoim członkiem — co, nawiasem powiedziawszy, jest jedyną godnością publiczną, jaką piastuję, i jedyną osłodą despektu, który mię spotkał temi dniami, z powodu, iż ks. Podolski ze złości na p. Bronisława Zawadzkiego pochwalił mię w *Przeglądzie Lwowskim*. Daję tedy moje wotum, i powiadam: jechać. Zdanie to moje popieram następującemi uwagami:

Nie tylko Niemcy czują *den Drang nach Osten*, czują go także i Polacy. Nie tylko Niemcy mają swoją kulturę, ale i Polacy także. Jeżeli Niemcy mają p. Scheffla, to my mamy p. Grzegorzewskiego. Jeżeli Niemcy podbili Bukowinę, to my podbijaliśmy swojego czasu całe Multany. Jeżeli Niemcy zajmują się *bezhołowiem* rumuńskiem, to my zajmowaliśmy się niem daleko radykalniej, świadkiem rynek lwowski, na którego bruk potoczyła się nie jedna głowa hospodarska, gdy już w inny sposób nie można było wlać w nią rozumu. Dziś, skoro Bukowina pragnie obcej kultury, nie ma najmniejszej racji, dla której nie mielibyśmy konkurować z Niemcami. Germanizują—polonizujmy! Jesteśmy bliżej, a nasze straże ochotnicze są racjonalniejszemi korporacjami, niż *burschenschafty*. Przyznam się, że ta wedeta germańska w Czerniowcach nie budzi we mnie ani trwogi, ani nawet respektu. Lwów spolszczył się, chociaż miał tak długo uniwersytet niemiecki w swoich murach. Próbujmy spolszczyć Czerniowce. W tym celu, nie dobrze jest zrywać nawiązane już stosunki dyplomatyczne. Jeszcze raz tedy radzę jechać do Czerniowiec, byle wyjechać ztamtąd w nocy z 3go na 4ty października.

* * *

Bukowina jest nader ciekawym i mało zbadanym krajem. Co chwila odkrywają tam coś nowego. Przedwczoraj odkryto nawet dwóch *Bukowinaer Poeten*. Widziałem to czarno na białem w wiedeńskiej *Nowej Pressie*. Jeden nazywa się Moritz Amster, a drugi Ludwig Adolph Staufe. Ranga ich na Parnasie nie jest wyszczególnioną,

zdaje się wszelako, że nie są to *Dichterfürsten*, ale *bürgerliche Dichter der X. Diätenclasse.* Oni to wydali album na cześć założenia niemieckiego uniwersytetu w Czerniowcach i wzbogacili je nawet swojemi utworami. I we Lwowie był swojego czasu p. Babel, czyli raczej, według jego własnych słów:

„Dionys von Frohnsberg Babel,
Der als Landes-Concipist,
Dero treuer Diener ist."

Pisywał on, jak widzimy, piękne wiersze niemieckie, ale *nomen est nomen*, i jak nie udała się budowa wieży Babel, tak i ten Babel nie potrafił przemienić Piaskowej Góry w Parnas lwowsko-teutoński. Mam jakieś przeczucie, że i Cecyna w podobny sposób zostanie głuchą na poetyczne zaklęcia pp. Amstra i Staufego.

* * *

Wszystkie dzienniki zdają obszernie sprawę z wystawy rolniczo-przemysłowej w Stanisławowie i budzą tym sposobem zazdrość w sercu Lwowian, którzy radziby byli, gdyby i ich nie pomijano tak kosekwentnie w tem wystawowem stuleciu. W istocie nasuwa się pytanie, dla czego nie przyszło dotychczas nikomu na myśl urządzić we Lwowie jaką wystawę na większą skalę? Możeby na przyszły rok pomyślano o tem. Filadelfja za daleko, a rzeczy godnych widzenia mamy poddostatkiem w pobliżu, jak się to pokazuje ze sprawozdań stanisławowskich. *Fiasco* finansowe, jakie zrobił Wiedeń w r. 1873 nie może nas odstraszać, bo oczywiście nie będziemy urządzali kosztownej wystawy powszechnej i światow.j, ale skromną, domową. Tymczasem, zadziwiającą jest rzeczą, jak mało gmina lwowska myśli o rzeczach, któreby mogły przyczynić się do wzrostu i pomyślności miasta. Zostawione ono jest swojemu własnemu losowi i jeżeli mimo to nie upada, ale owszem podnosi się, zawdzięcza to jedynie szczęśliwym okolicznościom zupełnie przypadkowym.

Udział nasz w wystawie amerykańskiej będzie podobnoś bardzo nieznacznym. Tylko malarze krzątają się nieco. Ze Lwowa wysyła do Filadelfji obrazy swoje p. Grabowski, między innemi portret Franciszka Smolki. W tym też tylko jednym kierunku Polacy liczyć mogą na powodzenie za Oceanem, zwłaszcza jeżeli pierwszorzędni nasi artyści wyszlą swoje utwory.

* * *

Na zakończenie „Pogadanki," opowiedzieć muszę wypadek prawdziwie cudowny, nie w chęci współzawodniczenia z „Kroniką Lwowską" *Dz. Polskiego*, ale ponieważ rzecz sama w sobie jest nadzwyczajna i jedyna w swoim rodzaju. Był szef biura prasowego, który przez długie lata pełnił wiernie i gorliwie obowiązki swojego urzędu. Naraz zażądano od niego z góry, ażeby ścieśnił wolność prasy, mianowicie perjodycznej. Urzędnik oświadczył, iż to nie zgadza się z jego sumieniem i przekonaniem, i podał się do dymisji. Wypadek ten, trudny do uwierzenia, jest zupełnie autentycznym, ale wydarzył się bardzo daleko od Przedlitawji bo aż w Jeddo, w Japonji. Donosi o nim dziennik *Choya Szimbuń*, którego doniesienie powtórzyły pisma angielskie i niemieckie, ja zaś, nie umiejąc nietylko po japońsku, ale nawet i po ormiańsku — co mi zresztą gorzko wyrzuca *Gazeta Narodowa* — wyczytałem to w pismach wiedeńskich i pospieszam zawiadomić Europejczyków galicyjskich o postępku tego liberalnego prokuratora azjatyckiego.

*Jan Lam.*

---

## Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Acten der Ständetage Preussens unter der Herrschaft des Deutschen Ordens. — Herausgegeben von Dr. M. Toeppen. Band I. Leipzig 1874. 8. str. XXVII. 381.*)

W zeszłym roku ukazał się piąty i ostatni tom wydawnictwa tak niesłychanie potrzebnego, jakiem jest bezsprzecznie wydawnictwo źródeł do historji Prus wychodzących pod tytułem: *Scriptores rerum prussicarum.* Wydawcy wywiązali się i w tym tomie z swego zadania jak najchwalebniej — to też posypały się pochwały, przy której to sposobności dostało się nie mało lekceważenia tym z naszych wydawców, którzy „zadanie wydawcy uważają za rzecz bardzo prostą i łatwą sądząc, że po prostu przepisze się lub jeszcze wygodniej każe się przepisać dzieło, doda się do niego jaką taką przedmowę i na tem koniec!"

Jednym z wydawców wspomnianego zbioru był dr. M. Toeppen, i dla tego pierwszy tom wydawnictwa, którego tytuł umieściliśmy na czele, a o którem dziś pomówić mamy, zaopatrzony tak dobrze znaną firmą, wzięliśmy do ręki bez obawy zawodu i nie zawiedliśmy się przy czytaniu, jak to zresztą w dalszym ciągu udowodnić nam przyjdzie.

Przed kilku laty utworzyło się historyczne towarzystwo dla dziejów prowincji Prus, i jednem z głównych zadań jakie sobie wytknęło, było wydanie użytkowanych już wprawdzie, lecz albo nie całkowicie, albo z przekręceniami, aktów zjazdów Stanów pruskich, przedewszystkiem pod panowaniem tak zawsze wrogo do Polski stojącego Zakonu Krzyżaków. Że akta te są ważne nikt przeczyć nie będzie, kto wie, jak szeroko rozwiniętem i różnobarwnem było życie handlowe miast pruskich — jak następnie przy coraz większem wzmaganiu się musiały one wejść w zatargi z ścieśniającym ich swobody Zakonem i jak nakoniec rzuciły się w objęcia Polski. Miasta te należały w swoim czasie do najpotężniejszych w związku hanzeatyckim, a Gdańsk ośmielił się nawet współzawodniczyć z głową związku, z Lubeką. Ich dobrobyt tak się wzmógł, iż w trzynastoletniej walce między Polską a Zakonem nie tylko oręż polski, ale i ich zasoby pieniężne przechyliły szalę zwycięztwa na stronę Polski. Krzyżacy, jako rekrutujący się po największej części z obco-krajowców, nie mogli zżyć się z narodem, a krajowcom, mianowicie szlachcie, wszelki odjęli sposób dobicia się we własnym kraju urzędów i godności. Dla tego też uważano Zakon za władzę, przeciw której przy pierwszej lepszej sposobności można było wrogo wystąpić. Zresztą i duchowieństwo a mianowicie biskupi, z którymi Zakon musiał dzielić władzę, z czego nieraz wynikały zatargi—nie mieli wcale powodu sprzyjać Zakonowi. Niezadowolenie wzrosło od tego zwłaszcza czasu, gdy instytucja zakonna coraz więcej stawała się iluzoryjną; po ochrzczeniu Litwy nie można było w tych stronach walczyć z niewiernymi, bo ich nie było, Zakon więc stał się teraz tylko przytuliskiem dla biednych synów szlachty niemieckiej. Lecz nie tylko to było powodem ostatecznego upadku Zakonu. Zepsucie w łonie braci, mianowicie duma, chęć panowania, gwałty poddanym wyrządzane i brak jednolitości sprowadziły Zakon do tego stopnia upadku, z którego nikt już nie może się podnieść. Wprawdzie w wieku XV myślano o przeniesieniu Zakonu na Wołyń lub Podole, gdzie wobec odświeżonego zadania walki z niewiernymi dawne cnoty wrócić mogły, lecz serjo nikt się tem nie zajmował, a o urzeczywistnieniu projektu nawet mowy nie było.

Widzimy z tego, że ani interesa, ani żadna nić moralna nie wiązała Stanów Prus z Zakonem; ale w jaki sposób Stany oddalały się coraz bardziej od panujących braci, jak się ta niechęć potęgowała, dopóki ostatecznie nie doprowadziła do otwartego zerwania z Zakonem, to do chwili wydania tej książki nie przedstawiało się jeszcze dość jasno, a zadaniem właśnie tego wydawnictwa jest podać źródła, na których kiedyś da się skreślić to powolne a jednak stanowcze odrywanie się Stanów od Zakonu. Pierwszy ten tom doprowadza te źródła tylko do roku 1422.

Są to uchwały zjazdów Stanów, pisma Zakonu do Stanów i na odwrót, wypisy z współczesnych kronikarzy, słowem wszystko, co kiedyś posłużyć może do skreślenia wiernego obrazu zachowania się Stanów wobec Krzyżaków. Że obok wielu nowych, a dotychczas nieznanych uchwał, są i rzeczy dawno znane, to nikogo dziwić nie powinno, gdyż trzeba mieć na oku cel wydawcy, który zmierza do jak najkompletniejszego zebrania materjałów. Nie wszystkie jednak akta odnoszące się do działalności Stanów pruskich, podał wydawca, a mianowicie nie przytoczył tych, które odnoszą się do związku hanzeatyckiego. Uczynił to zaś dla tego, iż takowe zostały pomieszczonemi w wydawnictwie *Die Recesse und andere Acten der Hansetage*, a powtarzanie ich o tyle byłoby zbyteczne, że pozbawione łączności z historją Hanzy, nie mogłyby dać żadnego obrazu stanowiska miast pruskich w Hanzie.

Wydawca dzieli źródła na trzy części: Pierwsza obejmuje epokę od powołania Zakonu — do bitwy pod Dąbrownem (Tanenbergiem); druga od tegoż roku aż do r. 1413 tj. czas Wielkiego Mistrza Henryka Pławskiego (von Plauen); a trzecia od r. 1413 do 1422 tj. czas rządów W. Mistrza Michała Küchmeistera. Każdą z tych części poprzedza przedmowa, która zawiera treść następujących aktów i może być uważaną za krótką historję Stanów w tych czasach.

Sprawozdanie z tego, co ten tom nowego dla Prus zawiera, nie jest naszem zadaniem; ograniczymy się przeto na podniesieniu tylko tych rzeczy, które historji polskiej bezpośrednią korzyść przynoszą.

Zanotowawszy dwa regesta z aktów, mocą których Wielcy Mistrze nadają prawa polityczne Polakom w Prusach z lat między 1230—9 a 1278 r. przechodzimy do roku 1386 tj. do chwili, gdy Litwa z Jagiełłą na czele przyjmuje chrzest. Że to było nie na rękę Krzyżakom, widać z tego, że Wielki Mistrz zaproszony na uroczystość zaślubin Jadwigi z Jagiełłą, nie tylko nie przybył, ale nawet jakby w przeczuciu, że ta unja osobista może stać się w przyszłości groźną Zakonowi, wpływa na Stany, aby zakazały wszelkiego wywozu koni lub broni do Polski pod ciężką karą (str. 50). Mimo zakazu jednak widocznie przekraczano uchwałę skoro już w roku 1394 W. Mistrz ponownie ją komturowi malborskiemu i biskupowi warmińskiemu przypomina. (str. 76.) (Dok. n.)

# Z nad brzegów morza.

*Hâvre d. 10. września 1875 r.*

Morze! Morze! Olbrzymia potęgo! Niezbędny czynniku w rozwoju bogactw, a zatem i egzystencji narodowych! Patrząc na modre twe fale, jak ścigają się nawzajem i jak na gibkich swoich grzbietach z końca w koniec świata przenoszą owoce ludzkiej wiedzy i ludzkich trudów; nie mogę smętnym oprzeć się refleksjom, nie mogę w przeszłość Ojczyzny naszej stroskanem nie pognać wspomnieniem, nie mogę stłumić skargi na pradziadów, która z głębi serca namiętnym rwie się wybuchem.

Od Fińskiej zatoki po ujścia Odry, (Gdańsk, Memel, Ryga i Libawa) na północy; od Dnieprzańskiego Limanu do ujść Dunaju (Akerman, Cherson i Odesa) na południu, chęci by tylko a starania, tyle mogliśmy mieć morskich wybrzeży, tyle portów bezpiecznych, tyle okien patrzących na świat Boży, a ze świata w głębie puszcz Litewskich, w głębie błót Polesia i piasków Mazowsza, okien niosących dzienne światło i miljony. Był czas, nie przez lat dziesięć, nie przez dwadzieścia, ale ciągnący się przez półtora przynajmniej stulecia, że nikt zgoła, ani rodzące się zaledwie i lenne nam Prusy, ani zadrzemana w lodach Moskwa, ani niegroźna jeszcze na południu Islamu potęga, posiadania tych portów i wybrzeży nikt ani prawnie, ani samowolnie nie mógł nam zaprzeczyć.

Były one dobrem naszem w obliczu słuszności i w obliczu siły, *de jure* i *de facto*, jako zdobycz wojenna, jako prawem uświęcona dziadów i pradziadów spuścizna.

Cóż z tego? Cóż potem?

Marnotrawne, lekkomyślne plemię, nie umieliśmy lub nie chcieliśmy skorzystać z tych rzuconych nam pod nogi darów Opatrzności. Zakochani w jednej tylko roli, poprzestając bezmyślnie na jednej u łuku naszego cięciwie, powoli, po kawałku, postradaliśmy prawie wszystkie morskich smugów krawędzie. Tę nam skradł sąsiad, tamtą zostawiliśmy mu sami, i w chwili rozbiorów, Polska odcięta od świata, ze stron wszystkich wrażą opasana potęgą, potrzebowała cudu by się wyzwolić z krogulczych szponów napastników, a cuda jak wiadomo, jeśli się i dzieją kiedy, to nigdy na zawołanie.

Daleko nas zawiodły myśli, szumem fal morskich wywołane. W charakterze to Polaka, wszystko co widzi, co słyszy, co podziwia, do jedynego żywotnego dlań zastosowywać pytania. Pytaniem tem: Ojczyzna! Wybaczcie więc nam powyższy ustęp niekoniecznie kronikarskiej treści i pozwólcie, że niemogąc gawędzić wam o bogactwie portów ojczystych, gawędzić będziemy o bogactwie portu francuskiego, jakie nam świeżo odbyta wycieczka jasno postawiła przed oczy.

Przy ujściu Sekwany do morza, o cztery godziny jazdy koleją od Paryża, wznosi się miasto duże, 100.000 z górą ludności liczące, świetnie zabudowane i nader ruchliwe.

„Le Hâvre de Grâce“ ani stolica departamentu, którą jest Rouen, ani żadnych wyższych władz administracyjnych siedlisko, tylko w handlu i w transportach morskich ma źródła swego wzrostu i rozkwitu. Dwie linje kolei żelaznej i szeroka dla dużych nawet parostatków spławna rzeka, łącząc go z Paryżem, robią zeń jakby nadzwyczajne przedłużenie stolicy Francji. Czem jest Marsylja dla handlu z Afryką i z azjatyckim Wschodem, tem Hâvre dla handlu z Północą i amerykańskim Zachodem. Miljony wyłożone na możliwe ubezpieczenie jednej z większych w świecie przystani, już się dawno opłaciły miljonami dochodów. Przystań owa składa się z pięciu olbrzymich sadzawek (*bassins*), monumentalnemi połączonych z sobą śluzami, i od morza, burz jego i wichrów potrójnym odgrodzonych okopem. Gdy jaki statek wybiera się w podróż, w chwili przypływu podnoszą śluzy. Fale morskie przepełniają sadzawkę i gmach okrętowy na swoim grzbiecie w dalekie unoszą przestrzenie.

Powiedziałem gmach okrętowy, wcale zbytnią nie grzesząc przesadą. Są bowiem między niemi olbrzymie. Parowce Kompanji „transatlantyckiej“ istne miasta pływające, zdolne pomieścić do tysiąca osób, prócz załogi, i z wielkim wewnątrz urządzone przepychem, liczą się do najokazalszych. Zwidzanie ich detaliczne, to jedna z większych przyjemności dla turystów goszczących w Hawrze. Atrakcji zresztą nie brak tam zgoła. Nieoswojony z rzeczą wędrownik, tygodnie całe mógłby spędzać w porcie, umysł swój co dzień jakimś nowym bogacąc nabytkiem. Ten las masztów i kominów parowych, te magazyny miljonami różnorodnych zapchane towarów, ta ludność żeglarska, tak ruchliwa, tak czynna, właściwym sobie wysławiająca się narzeczem i właściwym sobie ulegająca zwyczajom; to cały świat nowy, odmienny, którego gdzieindziej jak nad brzegiem morza, jak w takiej pierwszorzędnej przystani dopatrzyć, ba i przeczuć nawet nie sposób. Szorstkie to i osmolone istoty te dzieci otchłani. Chociaż niezgrabne w ruchach, które uderzają pewnem podobieństwem do kołysania się kaczki, i nie gładkie w mowie, którą dobitnych klątw przeplatają litanją, mimo to wzbudzają w was mimowolną sympatję. Ciągła walka z groźną i nieokiełznaną naturą wyciska na nich pieczęć siły, energji i szczeroty zarazem. Któżby mógł bowiem, któżby chciał kłamać w obliczu śmierci? A śmierć im ciągle w oczy zagląda. To są więcej niż żołnierze, kampanje ich bowiem trwają nie rok, nie sześć miesięcy, lub sześć niedziel, ale całe życie, póki starczy sił i zdrowia, bez rozejmu i bez zawieszenia broni. Ciągłe narażanie się, poświęcenie osobiste, to co gdzieindziej zasługiwałoby na miano bohaterstwa, u nich jest rzeczą codzienną i zwyczajną. Zawieszeni nad otchłanią, jak piłka skrzydłem wichrów miotani, śpiewają. Pogarda życia, to wybitna charakteru ich cecha. Miękka, wypieszczona dłoń mieszczucha z pewnem uczuciem ufności wspiera się na twardej i chropowatej dłoni tych „wilków morskich“ (*les loups des mers*) jak na czemś, co nie zawiedzie, co w razie potrzeby i siebie i drugich, drugich pierwej nawet niż siebie, ratować pośpieszy, i siebie i drugich z bezdennej wyciągnie toni.

Korzystając z pogody, najętą łódką rybacką, w towarzystwie tych poczciwców, w dość dalekie po szklistej przestrzeni puszczałem się wycieczki, i pod tym lub owym pozorem, na długie, godzinne, wyciągałem ich gawędy. Co za żywot! Co za egzystencja! Kogo ona nie złamie, ten zaprawdę silnym być musi. Lwowianin wybierając się na przejażdżkę do Winnik lub Sądowej Wiszni, z większem o niej myśli i mówi wzruszeniem, niżli ludzie ci o podróżach wśród lodów biegunowych, lub pod skwarnem zwrotników słońcem. Nowy-Jork, Ameryka, to nic dla nich — to pod bokiem, któż tam nie był z dziesiątek przynajmniej razy? A! Nowa Kaledonja! A! Chiny! A! Japonja! To co innego!

*Cela merite qu'on se remue un peu!*

A mowa tu nie o podróżach w ciepłej kajucie, na wygodnem łóżku, w jedynym frasunku o swą własną osóbkę; mowa tu o podróżach na pomoście, pod gołem niebem, na szczycie masztów, wzdłuż lin osmolonych, w wściekłych fal pianie, w ciągłej pracy, w ciągłym znoju i pod ciągłą śmierci grozą! Dobremu humorowi to nie przeszkadza. Byleby chwilka wolniejsza (o wolnej zupełnie nawet mowy być nie może), byleby szklanka tęgiego rumu, a kłębek tytoniu do żucia, to wnet i piosnka na uściech i uśmiech w oku. Znój, ból, trwoga — zapomniane!

Wspomniałem coś o doniosłości Hawru pod względem handlowym i o miljonach dochodów, jakiemi koszta wyłożone na budowlę portu, opłaciły się już od dawna. Po kilku kartach poświęconych wrażeniom i fantazji, czyż nie wybaczycie mi kilka cyfer ściśle materjalnych, statystycznych? Życie usposobiło mnie w ten sposób, iż bez cyfer mało czemu daję wiarę, że bez cyfer wszystko lub prawie wszystko płodem bujnej zdaje mi się wyobraźni.

W ubiegłym 1874tym roku zarzuciło kotwicę w porcie tutejszym przeszło 12.000 większych statków, dźwigających razem do 3.500.000 beczek ładunku. Towary wywiezione oszacowano na 849, a wwiezione na 687 miljonów franków. Świadectwo wymowne o ruchu panującym w przystani i obfitości złotej strugi, która przez te koryta płynie tam i nazad, bez końca i bez ustanku. Są tu bogaci armatorowie (armateurs), niestety nie mamy na to swojskiego wyrażenia, ich wille i pałacyki na wzgórzach otaczających miasto bielą się wspaniałym szeregiem, którzy po sto i po 200 własnych okrętów posyłają w różne strony świata. Jednemu z nich przeszłej zimy zatonęło siedmnaście statków ładownych bawełną, i ta drobna strata bynajmniej go nie zrujnowała.

Zawiść ciężkim jest grzechem i brzydką wadą, lecz serce broni się od niej daremnie, gdy miłość własna upokorzona szepce na ucho: — „I wybyście to mieć mogli!“

A! Chyba *Przedświt* Zygmuntowski chwycić do ręki i dobiegłszy w nim do ustępu:

„Gdyby niegdyś Ojce twoi
Weszli byli do podwoi
Tego gmachu co dziś pada
. . . . . . .
. . . . . . .
Bylibyście jako oni,
Sklepem śpiącej pełnym broni
Kramem tylko, nie narodem!“

czytać i powtarzać tak długo, aż magiczne jego akordy, zagłuszą w nas przykre wspomnienia dostatku innych a nędzy własnej.

Ale cóż z tego? To tylko kataplazm, to nie lekarstwo!

A przytem „gmach ów“ jak na złość, wcale jakoś padać nie myśli.

E! Mówmy o czem innem.

Miasto Havre, jako miasto, jeśli o porcie, o sercu jego i racji bytu na chwilę zapomnimy, niczem się nie odznacza od drugorzędnych miast Francji na prowincji. Jak wszystkie prawie inne na dwa wybitne rozdziela się kwartały: jeden, stary, pełen wąskich i krętych uliczek, zawalony ruderami okopconemi, pamiętającemi jeszcze Walezjuszów; drugi nowy, przecięty bulwarami pod linje wyciągniętemi ale niezupełnie jeszcze zabudowanemi.

Piękności architektonicznych, wybitniejszych dzieł sztuki, nic lub mało. W liczbie tych ostatnich zasługują na pobieżne wspomnienie dwa posągi, dwóch sławnych synów miasta: Bernardin de St. Pierre, autora *Pawła i Wirginji* i Kazimierza Delavigne, oba rzeźbione dłutem Davida d'Angers, i umieszczone u wejścia do publicznej bibljoteki. Powiedziałem na wspomnienie „pobieżne“ bo widzi nam się, że mistrz wcale tu swojego nie wysilił talentu, i o wiele, bardzo wiele są gorsze od znanych jego „medaljonów.“

Jest także i kościół Panny Marji przy głównej ulicy „Paryską“ zwanej, jest i ratusz przy placu „Richelieu'go“. Kościół, zlepek rozmaitych stylów; ratusz, duża, nowa, czworokątna kamienica, ot i wszystko co o nich można powiedzieć.

Okolice? A! okolice prześliczne, usiane wspomnieniami z dziejów i z fantaji — i morze, wiecznie to samo, a wiecznie nowe i wiecznie piękne, morze coraz to odmienne a nader malownicze ukazujące nam widoki.

Na prawo: przylądek *La Hève*, na szczycie jego dwie elektryczne latarnie morskie, u stóp ładna zielona mieścina zwana Ste Adresse, letnia rezydencja Krystyny, ekskrólowej Hiszpańskiej — i „Opactwo Graville“ malownicze ruiny starego klasztoru, scenarjum do Meyerbeer'owskiego *Roberta Djabła*.

Na lewo: Trouville i Deauville, eleganckie stacje kąpieli morskich, co lata przepełnione kwiatem Paryskiej arystokracji.

Nieco opodal: Argues, miejsce walnego zwycięztwa Henryka IVgo, nad księciem de Mayenne w czasie wojen Ligi w 1589tym roku, i Yvetot, stolica królestwa tegoż imienia, unieśmiertelnione przez Berangera, którego piosnkę *Il etait un roi d'Yvetot* i t. d. powtarza na pamięć trzecie już pokolenie Francji. ba! całego nawet świata.

Po drodze wreszcie do Paryża miasto Rouen, coś na kształt francuskiej Norymbergji, miejsce kaźni Dziewicy Orleańskiej, i ojczyzna Boieldieu, którego stuletnią rocznicę urodzin niedawno z wielkim obchodziło przepychem. Rouen, pieścidełko architektoniczne, Rouen, którego trzy kościoły: Katedra, St. Ouen, i St. Maclou miłośników sztuki średniowiecznej, a któż nim nie jest choć trochę, w niewysłowione a nader słuszne wprowadzają zachwyty.

*J. S. Chamiec.*

# BIBLIOGRAFJA.

### Angielska.

— Fusang or the discovery of America by Chinese Buddhist priests in the fifth century. By Charles G. Leland. London, Trübner et Co. — 1875.

W angielskich i amerykańskich czasopismach powstał na nowo spór co do odkrycia Ameryki. Uczony francuski Degusgnes już w tamtem stuleciu starał się dowieść, że Ameryka na jakie tysiąc lat przed Kolumbem przez Chińczyków odkrytą została. Uczony niemiecki Neumann podał niektóre wyciągi z chińskich roczników, w których znajdujemy opowiadanie Honi-Schina. Honi-Schin, mnich budaistów, żył w piątem stuleciu po narodzeniu Chrystusa. W celach misyjnych przedsiębrał on liczne podróże, które opisywał. I tak przybył do Królestwa o przeszło dwadzieścia tysięcy chińskich mil dalej na wschód od Chin położonego. Tu znalazł rodzaj rośliny, którą dla podobieństwa z pewną azjatycką rośliną nazwał Fuzang i od której nowo odkryty kraj otrzytrzymał także nazwisko Fuzang. Roślina ta była dla tamtejszych mieszkańców prawdziwem dobrodziejstwem: konary służyły na pokarm, z kory wyrabiano odzienie i papier, bo znali już sztukę pisania. Broni i obwarowanych miejsc nie posiadali wcale. Król nazywał się Ichi. Prócz koni i wołów używali jeleni do ciągnienia ciężarów, a z mleka samic przyrządzali masło. Żelaza nie znaleziono w tym kraju, a na miedź, złoto i srebro mieszkańcy nie zwracali wcale uwagi. Jeżeli kto dziewczynę chciał pojąć za żonę, wystawiał sobie naprzeciw jej pomieszkania chatę i mieszkał tak cały rok. Gdy po upływie tego czasu dziewczyna nie okazywała chęci do poślubienia go, odchodził dalej. Podług tej samej kroniki została tam religja budaistyczna zaprowadzona już w roku 458 po nar. Ch. Od tego kraju tysiąc mil dalej na wschód miał być kraj, w którym kobiety rządziły. Leland, autor dzieła, którego tytuł umieściliśmy u góry, na podstawie tej kroniki jakoteż dawniejszych podróży Chińczyków twierdzi, że kraj Fuzang zwany, leży w północno zachodnim Meksyku. Badania nad starożytnościami amerykańskiemi i studja porównawcze północno-amerykańskich i azjatycko-tatarskich języków wykazują, że w przecięciu trzy piąte źródłosłowów są wspólne. Jednakże tę kwestję uważać jeszcze należy za nieroztrzygniętą a więc otwartą.

# Wiadomości z kraju i ze świata.

### Uroczystość Michała-Anioła we Florencji.

— Dnia 12go b. m. rozpoczęła się we Florencji wielka uroczystość dla uczczenia 400 letniej rocznicy urodzin Michała-Anioła Buonarottego, który był największym genjuszem w dziedzinie budownictwa i plastyki, a jako malarz stoi także na równi z najpierwszymi mistrzami, przewyższając ich pod niejednym względem. W niedzielę rano dnia 12. b. m. inaugurowano obchód wspaniałym koncertem w starożytnym pałacu Signorji, przyczem wykonano jako curiosum starą kompozycję do jednej poezji Michała-Anioła, który jak wiadomo, był także nieposlednim poetą. Następnie olbrzymi pochód, złożony z przedstawicieli wszystkich miast włoskich, bardzo wielu zakładów naukowych tak krajowych jak zagranicznych, i dziennikarstwa udał się do pałacu Buonarottich. Chorągwi było 150, muzyk bezustannie przygrywających kilkadziesiąt. W ulicach był nieslychany tłum ciekawych. Przed bramą pałacu, poeta Aleardo Aleardi wygłosił wspaniałą mowę, poczem pochód wyruszył do kościoła Sancta Croce, gdzie leżą zwłoki wielkiego mistrza. Po przemówieniu profesora Fabroni, który kościół Santa Croce nazwał Panteonem florentyńskim, uczony niemiecki Flörke z Weimaru złożył na grobie Michała-Anioła srebrny wieniec dębowy, przyczem wygłosił mowę tak bombastyczną, że nikt słowa nie zrozumiał. Po obchodzie w kościele udano się na plac Michała-Anioła, gdzie odsłonięto wspaniałą statuę tego mistrza, odlaną z bronzu według marmurowego oryginału, a przedstawiającą *Dawida*. Po kilku mowach wrócono do miasta. Prefekt dał dla delegatów tego samego dnia wspaniałą ucztę w pałacu Riccardi. Nazajutrz w przytomności księcia Carignano otwarto wystawę dzieł Michała-Anioła, która jest prawdziwym skarbem dla miłośników sztuki. Wieczorem książę Carignano dał galowy objad w pałacu Pitti, poczem nastąpił bal w pałacu Borghese, urządzony przez szlachtę florentyńską. Trzeciego dnia muzyki grały bez przerwy pod lożą dei Lanzi, w Akademji było uroczyste posiedzenie, a wieczorem wspaniale iluminowano wzgórze San Miniato. Przez cały czas służyła najwspanialsza pogoda.

— Dnia 15. b. m. za bramą rzymską we Florencji, w willi Niccolini, zebrali się reprezentanci prasy zagranicznej, którzy zjechali się do tego miasta na uroczystość jubileuszu Michała-Anioła. Gospodarzem był adwokat Carlo Pancrazj, naczelny redaktor dziennika *Gazzetta d'Italia*. Uczta była okazała, toastów wygłoszono kilkadziesiąt, między zaproszonymi znajdował się także dr Artur Wołyński, reprezentant „Tygodnia" — który przemówił w te słowa: „W boskim Michale-Aniele podziwiamy nie tylko nieprześcignionego artystę, szczytnego genjusza i umysł wzniosły, lecz także szlachetnego obywatela i dzielnego obrońcę wolności i niepodległości ojczyzny, któryn poświęcił związki ze swymi protektorami, własny spokój, swoją karjerę i osobę. To, o czem przez cały ciąg życia marzył i czego pragnął Buonarotti, po czterech wiekach ciężkich doświadczeń stało się rzeczywistem za dni naszych, a teraz widzimy i podziwiamy Italję jedną, wolną i niepodległą! To podniesienie się szlachetnego narodu, jest w wielkiej części zasługą walecznego Wiktora Emanuela z domu Sabaudzkiego, tego *Rè Galantuomo*, którego kochają swoi, a podziwiają obcy. Wychylmy przeto kielichy za zdrowie króla Włoch!" Na toast p. Wołyńskiego, z którego przytoczyliśmy główny ustęp w dosłownym przekładzie z włoskiego oryginału, odpowiedział hr. Arrivabene, ciesząc się, że cudzoziemiec uczcił króla Wiktora Emanuela.

### Literatura i sztuka.

— Od 1. października r. b. zacznie wychodzić *Korespondent*, poświęcony sprawom handlowo-przemysłowo-rolniczym. Redaktorem jest dr Bernard Goldman. Nowa ta publikacja może krajowi oddać bardzo wielkie usługi, z powodu naszego międzynarodowego stanowiska w świecie handlowo-przemysłowym. To też redakcja wydając *Korespondenta* po polsku i niemiecku, aby był przystępnym i dla handlarzy zagranicznych, będzie zwracała baczną uwagę na stosunki handlowe w ościennych nam krajach, mianowicie w południowo-zachodniej Rosji i Rumunji. *Korespondent* będzie wychodził co tydzień. Szczerze życzymy jak największego rozpowszechnienia nowemu temu wydawnictwu.

— Prof. dr. Roepell, autor znakomitej historji polskiej, kontynuowanej obecnie przez prof. dr. Caro, pisze do jednego z dawniejszych swoich uczniów w Poznaniu, p. dr. K. Sz... że wysłał właśnie nowe dzieło do druku swemu nakładcy do Gotha, mające wyjść pt: „Polska w połowie XVIII. wieku" (Polen um die Mitte des 18 Jahrhunderts.) Opisuje ono czasy od r. 1733—63, czem dalej tem bardziej szczegółowo. Zawiera nie jedną rzecz nową, mianowicie w opisie lat 1744, 1752, 1762 i 1763, lubo ci, którzy mają pod ręką zbiory rękopiśmienne krakowskie, lwowskie i inne, będą mogli nie jedno uzupełnić. „W poczuciu tej okoliczności trudno mi się było wczoraj zdecydować do wysłania manuskryptu do druku. Ale nie jestem niestety w położeniu całe tygodnie w Krakowie i Lwowie pracować. Co się tyczy pytania pańskiego względem wydania dzieł Kallimacha, to w tym względzie od lat 12 nic nie uczyniłem. Spoczywają od ostatniego naszego widzenia się nietknięte i stały mi się prawie obcemi." Dodać tu należy dla objaśnienia ostatniego ustępu listu prof. Roepella, że tenże przed kilkunastu laty wraz z profesorem filologji Hassem i prof. Momsenem, w czasie pobytu ostatniego przy uniwersytecie w Wrocławiu, pilnie się zajmował kolacjonowaniem manusrypz drukami dzieł Kallimacha i poszukiwaniem niedrukowanych rękopismów tego znakomitego męża stanu. Poznańskie towarzystwo Przyjaciół Nauk dowiedziawszy się o tem, ofiarowało prof. Roeplowi za pośrednictwem wzmiankowanego ucznia jego, pomoc swoją do wydawnictwa dzieł Kallimacha. Było to na początku r. 1863. Prof. Roepell odpowiedział wtedy, że jeszcze tej pracy nie wykończył, co niestety i dziś powtórzył. Obok wydawnictwa przez Bielowskiego najdawniejszych źródeł do historji polskiej, a dzieł Długosza, tworzących dalszy ich ciąg z inicjatywy śp. hr. Przeździeckiego, jako też Aktów Tomicjanów przez hr. Działyńskich, wydanie nowe dzieł Kalimacha, opisujących czasy pomiędzy Długoszem a Tomickim, byłoby tem ważniejsze, że dawniejsze jest bardzo niepoprawne i niekompletne.

— Pomnik dla Joachima Lelewela i Aleks. hr. Przeździeckiego wznosi pan Albin hr. Belina-Węsierski na wyspie Ostrów jeziora Lednicy, przez wdzięczność za pomoc, jakiej mu ci badacze udzielali w poszukiwaniach cennych dla nas pamiątek na tej wyspie. Położenie kamienia węgielnego odbędzie się 27. b. m.

### Podróże, wynalazki i komunikacje.

— Niemcy mają nadzieję, że wkrótce urządzą nową ekspedycję do bieguna północnego. Biuro kanclerza wezwało fachowych delegatów do Berlina na dzień 4. października rb. aby się porozumieć w tej sprawie i wygotować wniosek do Reichstagu. Wyprawa szwedzka, zostająca pod kierownictwem Nordenskiölda znajduje się na Nowoj Zemlji.

— Rząd austrjacki wysłał własnym kosztem ekspedycję, która ma zwidzić półwysep bałkański. W sierpniu rb. wyprawa złożona z trzech uczonych, udała się na półwysep chaldejski i na wyspy przyległe.

— Austrjacki podróżnik afrykański, C. Marno, który obecnie znajduje się w Darfur, jest teraz utrzymywany kosztem rządu Kedywa, ponieważ środki dostarczone mu przez wiedeńskie Tow. geograficzne już dawno się wyczerpały.

— Na podstawie umowy zawartej przez cesarstwo niemieckie z Grecją w kwestji wykopalisk w Olimpji, roboty około nich rozpoczną się 25. bm. Przewodniczyć im będzie na miejscu młody archeolog, dr. Hirschfeldt. W Berlinie czuwa nad tem przedsięwzięciem komisja, złożona z pp: Curtiusa i Adlera i radcy legacji Buscha.

— Niejaki p. Crespin przedłożył paryskiej Akademji plan połączenia Paryża z Wersalem za pomocą poczty pneumatycznej. Za pomocą ciśnienia powietrza, wóz pocztowy będzie robił w senkundzie 30 metrów. W ten sposób w piętnastu minutach poczta paryska będzie się znajdowała w Wersalu.

— Wiadomo że podczas oblężenia Paryża, fotograf Dragon wynalazł sposób, za pomocą którego tak mikroskopicznie pismo pomniejszył, że na papierze nie wiele większym jak połowa zwykłego papieru cygaretowego, odfotografował 3000 listów, które poniósł gołąb pocztowy. Obecnie fotografuje on mapy wszystkich krajów Europy. Każdy żołnierz będzie mógł nosić w swojej ładownicy wszystkie mapy, wraz z przyrządem służącym do czytania.

### Szkolnictwo.

— Oto skład profesorów nowego uniwersytetu czerniowieckiego: A) Wydział teologiczny: Bazyli Mitrofanowicz, prof. praktycznej teologji, Euzebjusz Popowicz, z. prof. historji kościelnej, Izydor Onczal rz. prof. studjum biblijnego, egzegezy starego testamentu i hebrajskiego języka; Bazyli Repta, z. prof. studjum biblijnego i egzegezy nowego testamentu, Aleksy Komorschan nadz. prof. dogmatyki, Konstanty Popowicz nadz. prof. prawa kościelnego. b) Wydział prawa i administracji: Fryderyk Schuller Libloy z. prof. prawa niemieckiego; Dr Konstantyn Tomaszczuk z. prof. austrjackiego procesu cywilnego, prawa handlowego i wekslowego i filozofji prawa; Dr Fryderyk Kleinwächter z. prof. politycznej ekonomji; Dr Fryderyk Wehring. z. prof. prawa rzymskiego niemniej katolickiego i orjentalnego prawa kościelnego; Dr Raban bar. Canstein nadz. prof. austrjackiego prawa cywilnego c) Wydział filozoficzny: Dr Jan Wrobel z. prof. klasycznej filologji; Ferdynand Blumenthal Zieglauer z. prof. austrjackiej historji; Dr Alojzy Goldbacher z. prof. klasycznej filologji; Emil Kałużniacki nadz. profesor porównawczej filologji słowiańskich języków; Dr Jan Loserth, nadz. prof. powszechnej historji; Józef Strobl nadz. prof. języka i literatury niemieckiej; Dr Aleks. Budzinszky prof. historycznych nauk pomocniczych i rumuńsiej filologji; Dr Antoni Marty nadz. prof. filozofji.

# ROZMAITOŚCI.

— Niedawno uwaga całego świata zajmowała się kapitanem Boytonem i jego pływackim przyrządem. Obecnie sławę jego przyćmił nowy w tym kierunku fenomen. Jest nim Anglik, kapitan Webb, który zdołał w 24 godzinach, bez żadnych przyborów, nagi, przepłynąć cieś-

ninę Kaletańską, dzielącą Francję od Anglji a wynoszącą sześć mil geograficznych. Wszystkie dzienniki pieją mu pochwalne hymny, z największym jednak entuzjazmem opisuje wyprawę jego „Illustrated Sporting und Dramatic News.“ Oto ten opis: „Cóż to za człowiek, który zwycięzko wyszedł z tak śmiałej walki z falą? Z prostotą odważny, prawdziwy typ dziarskiego a skromnego angielskiego żeglarza, Mateusz Webb posiada te otwarte i piękne rysy, które na pierwsze wejrzenie wzbudzają zaufanie. Młody ten, bohaterski żeglarz, którego rzeczywiście nazwaćby można rycerzem pływaków świata, jest drugim synem z rzędu doktora Webb, mieszkańca Ironbridge. Salop Mateusz Webb urodzony w Dawley (Shropshire) jest w kwiecie wieku i siły, liczy lat 27, mierzy 5 stóp 8 cali, waży 14 kamieni. Okrągły i szeroki jego korpus ma 43 cale objętości. Nie będzie od rzeczy dodać, że w roku 1860 jako dwunastoletni chłopiec dostał się na okręt Szkota Conway, na rzece Mersey, gdzie odebrał najlepsze wychowanie, jakie tylko przez dwa lata otrzymać może młody marynarz; w roku 1862 poszedł w naukę do domu Rathbone w Liverpool. Tam wytrwale pracując w swym twardym zawodzie, „opłynął świat tam i nazad“ jak mówi pieśń. Odtąd bardzo i często żeglując pod rozmaitemi sferami. stopniowo nabył niezrównanej pewności w opanowaniu żywiołu wodnego; dodajmy do tego nieustraszoną energję, a przyznamy, że wszystko to poniosło teraz słusznie imię jego do historji, jako niezrównanego pływaka przeszłych i teraźniejszych czasów. Niejedno on życie wyratował z toni. Ze wszystkich jednak szlachetnych wysileń jego w niesieniu pomocy bliźnim, najbardziej bohaterskiem było, co uczynił dnia 20. kwietnia 1873 roku. Istotnie pamiętna to data dla niego. Natenczas Webb należał do osady królewskiego statku pocztowego Russia, który płynął z Nowego Jorku do Liverpoolu. Podczas burzy jeden z jego kolegów spadł do morza. Prędki jak myśl Webb skoczył za nim i przez więcej jak pół godziny, w środku Oceanu i w spienionych nurtach, daremnie szukał tonącego żeglarza! Powiadają, że wrócił potem na pokład w potulnej postawie, jakby po dokonaniu zwyczajnego czynu, należącego do jego obowiązków. Ludzkość jego i odwaga szybko zyskały uznanie i nagrodę. Pasażerowie Russii ofiarowali mu worek o stu gwinach. Od towarzystwa Human Society, z Liverpool otrzymał srebny medal, a ostatecznie, w zeszłym roku, przy rocznej konferencji królewskiego Towarzystwa Human Society, pod prezydencją księcia Edynburgu, zaszczycono go medalem złotym. Ostatni okręt na którym służył Webb, jest Emerald, żeglujący tam i napowrót z Celina w zachodniej Irlandji. Tam biegłość jego w pływaniu opiewano wierszem. Żeby zakończyć ten krótki wstęp do ukoronowania dzieła dokonanego tego tygodnia, dodać potrzeba, że kapitan Webb uporczywie i zawzięcie przygotowywał się na swój tryumf na Kanale. Istotna próba nastąpiła z Blacwall do Gravesend, to jest 20 mil (5 mil geograficznych). Dokonał on tego 3. lipca w czterech godzinach i 52 minutach. Dwa tygodnie później drugi dał dowód, co może siła i wytrwałość, płynąc z Douvres do Ramsgate w 8 godzinach i 40 minutach. Czasu swego opisaną była śmiała jego próba przepłynięcia kanału 12. sierpnia. Dawniej już J. C. Johnson, ówczesny zawołany pływak angielski, próbował przepłynąć z Douvres do Calais, co już puszczono w niepamięć; Johnson bowiem popłynął tylko w dyrekcji z Douvres do Folkstone, przez mniej więcej 65 minut, i dał za wygraną, upłynąwszy zaledwie około 7 mil angielskich. Mimo złowrogich kołyszących się wałów, z któremi potykać się miał Webb, w poprzedniej próbie, t. j. 12 sierpnia, walczył on z falą przez godzin 6 i 57 minut i wyszedł około północy z morza, zdrów, czerstwy i więcej jak kiedy zdeterminowy do podjęcia próby po raz drugi, z której wyszedł zwycięzko na podziw świata całego. Szczęśliwie przeprowadzona wyprawa przez Kanał była rozpoczętą zeszłego tygodnia, we wtorek, 4 minuty po południu. Powietrze było ciche, morze spokojne, a serdeczne okrzyki i życzenia towarzyszyły pływakowi, dodając mu nadziei, w chwili, w której zanurzając się z tamy admiralicji w Douvres, po raz drugi spróbował przeprawy na brzegi francuskie. Jak poprzednio tak i teraz grubą powłoką z tłuszczu żółwiego namaścił ciało, co chronić miało od zimna; równie jak przy pierwszej okazji, śmiałego pływaka konwojował lugger Anna, własność dzielnego kapitana Toms, tudzież parę set skiffs (rodzaj długiego czółna zbitego z cieniutkich desek, które zbudowane dla dwóch wioślarzy, waży tylko 24 funty). Jedno z nich retmaniło kapitanowi; mając osadę z dwóch wioślarzy, którymi byli jak poprzednio. G. H. Ward (kuzyn Mateusza Webb), i A. G. Rayner (niegdyś patron statku Harry Guvr) i Wilkinson (ze statku Field). Jak dawniej, kapitan Toms zalecił M. Webb płynąć w dyrekcji S—E na S pół S (południowo-wschodnio na południe, pół strychu na południe), prosto do brzegów francuskich. Webb płynął długiem i silnem piersiowem pchnięciem, około dwudziestu razy na minutę. Dziarsko szybował on przez morze z portu Douvres, zkąd go na krótki dystans konwojowała flotyla łodzi, których osada dodawąła mu otuchy głośnem wołaniem i życzeniem powodzenia. Odpływ natenczas niósł w dół Kanału, kurs zatem kapitanowi wskazywał: twarzą do brzegów przeciwnych przecinać prąd. Podług tego wyrachowania odpływ miał go ponieść w dół Kanału. W górę zaś, naprzeciw latarni Sand Hend, ponieść go miał przypływ. Drugi odpływ zaś w dół naprzeciw przylądka Grisuez. W powrocie przypływ miał go zanieść do słupa granicznego na brzegach francuskich. Jak dokładnem było wyrachowanie kapitana Toms, wnet się okaże. Z odpływem Webb płynął aż do godziny kwadrans na 3. — Tu wypił szklankę dobrego „alu“, poczem z nową energją ciągle przeciwko prądowi mocował się. Około 3 po południu przypływ zaczął go nieść w górę Kanału. Spławiony w dyrekcji północno-południowej, ominął wapienne skały angielskie, oddalony będąc od brzegów o mniej więcej 3 do 4 mil. Półtorej godziny później wypił drugi haust alu, czem na nowo ożywiony, o godzinie 4 dostał się naprzeciwko Douvres, około czterech mil od brzegu. „Wybornie!“ (all right)! wykrzyknął Webb, odpowiadając na zapytanie: jak się miewa. Wybornie rzeczywiście wyglądał on, o ile to być mogło, aż do godziny wpół do siódmej, o której zasilił się bulionem. Dodało mu wtedy otuchy towarzystwo jego zwolennika J. G. Chanilers, który z Douvres przypłynąwszy w łodzi, wskoczył do wody i czas niejaki towarzyszył pływakowi. Nadszedł zmierzch, a morze się nie uspokoiło jeszcze. Bez omdlenia Webb pruł piersiami wodę w górę Kanału, od czasu do czasu posilając się bądź alem, bulionem, lub gorącą kawą, ale nigdy twardą strawą. Noc zaszła i zastała tego tęgiego pływaka, posuwającego się dalej w tej herkulesowej przeprawie. O wpół do dziewiątej ryba gwiazda (jelly-fish) ukłuła go; cokolwiek okowity wnet zagoiło ranę. Tak pływał przy bladem swietle księżyca, aż znów prąd się zmienił niosąc go w dyrekcji południowo zachodniej, w pozycji jednak nader pomyślnej. Był on teraz o 12 mil od południowej latarni Foreland, mniej więcej od 8 do 9 mil od przylądka Grisuez. Od czasu do czasu witany był serdecznemi „hurra!“ reporterów, szczególniej zaś ożywiły go okrzyki entuzjazmu podróżujących na statku „Maid of Kurt“. Była teraz północ. Młody Baker (drugi Harry Gurr w wodnej doskonałości) płynąc podawał M. Webbowi posiłek. W tych długich i przykrych godzinach rannej straży dziarski ten młodzieniec bacznie pilnował w retmańskim skiffie, czy biedny pływak w braku siły lub dla kurczów nie potrzebuje pomocy. Atoli chociaż to nadludzkie pływanie widocznie okazywało, co cierpieć musiał wytrwały Webb, ani na chwilę nie poddał się podczas tej długiej lecz szczęściem spokojnej nocy. Jakkolwiek uciążliwem było pływanie od wpół do pierwszej do trzeciej z rana, gdzie ani kropli niczego do ust nie wziął, było to niczem w porównaniu ze straszliwą walką z falą, co go oczekiwała. Białe wapienne skały przylądka Grisuez świeciły z daleka, jak błędne światełka. Zorza się ukazała. Słońce weszło i już skaliste brzegi Grisuez były tak bliskie, że zdawało się, że ich ręką dotknąć można; lecz tu, o piątej z rana, zaczął się przypływ i wyrzucił go na wschód ku Calais. Mniej więcej w godzinę później podniósł się wiatr, pomącił wody, które pryskać zaczęły w twarz pływakowi. Mdlejąco wtedy zawołał: „Ta straszna fala powoli zabija mnie.“ Zbladła jego twarz, ustające ruchy wskazywały dokładnie, że te słowa rozpaczy były prawdziwe. Wygrana zdawała się wątpliwą. Siły zdawały się go opuszczać, krajało się serce na widok jego bohaterskich wysileń. Pomimo to, przetrzymał on jeszcze te znojów pełne godziny. Godzina 9 zrana nadeszła. Kryzys czy pomyślna, czy fatalna, oczywiście zbliżała się. Calais było już pod ręką, ale bez litości ciągle się wznosiło morze. W tem odezwał się głos witający, wydany z ust angielskich, który pochodził z łodzi Maid of Kurt. Wierna Hero tego Leara! Wypłynęła ona z portu Calais jemu na pomoc. Ta szczęśliwa łódź, wiosłując pod wiatr, zasłaniała nieco omdlewającego. Serca dodały pocieszające głosy... Webb ostatnich] wydobywał sił i wreszcie

. . . . . . . . uderzeniem<br>
Potężnych ramion na bok powalił<br>
I złamał siłę swojego wroga!

Nakoniec dobił do odsypów Calais 41 minut po 10 zrana, przebywszy w wodzie dwadzieścia jeden i trzy czwarte godziny. Siły opuściły go teraz i bohaterski ten pływak ledwo dotknął nogą gruntu, padł na twarz. Silne i przyjacielskie dłonie przyprowadziły go na brzeg. Każdego widza serce zadrżało i zrosiły się powieki, oglądając uwieńczone zwycięztwem to bohaterskie czoło. Skromnie i spokojnie Webb wyszedł z wody, wsiadł do powozu, co czekał na niego, tam ręka w rękę z majtkami, co pobiegli mu na pomoc, pojechał do Paryskiego hotelu w Calais. Krótki czas był w malignie, poczem głęboko zasnął, a obudziwszy się, prawie zupełnie do siebie przyszedł. Bawi obecnie u ojca; po drodze aż do tej chwili od całej Anglji spotykają go niesłychane owacje.

— W Basarnely (w Węgrzech), jak czytamy w pismach zagranicznych, entuzjazm religijny był powodem następującego zdarzenia: Müller Czabo, liczący wieku lat 32, przyjęty przed kilku laty do fanatycznej sekty Nazareńczyków, długo przemyśliwał nad tem, jakim sposobem odpokutować dawne swoje grzechy. Błagał o przebaczenie tych, których poprzednio oszukiwał. Ale to wszystko zdawało mu się niedostatecznem. Prześladowała go ciągle ta myśl, że albo z siebie samego albo też z tego, co ma najdroższego na świecie, winien zrobić Bogu ofiarę. Takowa — mówił — będzie najczystszą a zatem najmilszą Bogu. Powodowany tą myślą postanowił swoją ośmnastomiesięczną córkę zabić, robiąc z niej ofiarę, jak to Abraham zrobił z własnym synem. Gdyby Bóg uważał te ofiarę za niemiłą dla siebie — mówił Czabo do swej żony i siostry — powstrzymałby mój zamiar. To przekonanie uspokoiło go na duchu. Wkrótce też zamknąwszy się w oddzielonym pokoju z dziecinę, położył takowe na stole a obok niej topór. Następnie ukląkłszy począł się modlić. Za chwilę dziecko zapłakało. Ojciec, uważając to za znak właściwy do spełnienia ofiary, schwycił za topór i dwoma uderzeniami odłączył głowę od reszty ciała własnego dziecka. Zbiegły się kobiety z sąsiadami, ale już za późno. W istocie czynu była ofiara, ale razem i zbrodnia. Za okrutne morderstwo dokonane wskutek religijnego fanatyzmu, Czabo skazany został na 10 lat więzienia, a żona jego jako wiedząca o strasznym zamiarze, na rok jeden.

## Odpowiedzi Redakcji.

**Do wszystkich:** Przypominamy, że najwyższy czas odnowić przedpłatę, ponieważ numer dzisiejszy jest ostatnim w bieżącym kwartale.

**L. w Tarnopolu.** Premje wysyłamy według życzenia; prosimy sobie wybrać.

**P. W. w Krakowie.** Dziewięćdziesiąt centów na cały kwartał to nie majątek, a my za to wysyłamy franko wszystkie premje, co kosztuje także kilkadziesiąt centów od egzemplarza, licząc wałki drewniane na obrazy, opakowanie i opłatę pocztową, wraz z listem oddawczym. Prenumeratę musielismy nieznacznie podnieść bo my chcemy wydawać pismo dobre. Pojedynczy numer TYGODNIA kosztuje przeszło 300 guldenów. O prawdzie słów naszych jesteśmy gotowi każdego przekonać.

### Treść Nr. 39.



Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).